Nr. 25. Lwów, Niedziela dnia 25. Lutego 1877 r. Tom IV.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcja:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracja:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

Swoi czy obcy?

Mało który naród tak dotkliwie odczuł na sobie rękę losu, jak my w naszem rozdarciu. Nie dosyć, że nam byt polityczny odebrano, ale jeszcze, ileż przyczyn na to się składało i składa, ażeby nam i jedność duchową odebrać! Wprawdzie ideały nasze żyją, serca nasze dla wspólnych celów bić nie przestały — lecz obok tej jednej zasadniczej dążności, tego jednego złotego ogniwa, jakże wiele rdzy i szczerb powstało na żelaznem i świetnem niegdyś pasmie naszej narodowej łączności! Odmienne losy, odmienne warunki życia, zwolna i nieznacznie wyciskały swe piętno na charakterach i dążeniach naszych — i dziś, bodaj czy nie nadeszła chwila, w której zapytaćby się warto, czy czasem ten proces wyosobnienia, chociaż tak powolny i nieznaczny, nie zaprowadzi nas za daleko, czy mimo poczucia pewnej idealnej jedności, nie rozbiegają się drogi naszego rozwoju, naszych prac i zadań wspólnych?

Pisząc to, nie jesteśmy wcale zdania tych, co w różnorodności stronnictw politycznych i religijnych widzą zgubę dla kraju. Nie pojmujemy bowiem rozwoju bez ścierania się różnych sił, różnych zapatrywań, różnych stronnictw. Owszem, pragnęlibyśmy jak największej tolerancji narodowej dla wszelkich uczciwie poczętych kierunków, jak największej śmiałości w ich obronie, i jak najwięcej szczerej walki przekonań; — bo tylko tam gdzie walka, jest życie, tylko tam gdzie rozmaitość, jest postęp. Ale taka walka cywilizacyjna nie wymaga wcale rozbratu i rozstroju; co więcej, ona to powoduje harmonijny rozwój narodu! Prawdziwi stronnicy zasad nie zapominają, że są synami jednej ziemi. O tem zapomnieć mogą tylko ci, których nie zasady — lecz ciemnota, nie zapał stronnictwa — lecz własny egoizm do czynów i do walki popycha. Na tych nie mamy lekarstwa; ale tu chodzi już nie o ludzi złych, lecz o nierozważnych i niepamiętnych; nie o jednostki, lecz o całe dzielnice nasze, które pod obuchem ciężkich przejść, i pod wpływem odmiennych warunków, wydały z siebie ten cierpki owoc niedoli: nieznajomość rodzonych braci, nieufność i podejrzenia małoduszne. Ktokolwiek zna stosunki, zarówno z tej jak i z tamtej strony kordonu, ten z bolem patrzeć musi na stopniowo wkradający się rozbrat charakterów i na tę straszną nieznajomość wzajemną, która nieraz mimowolnie kładzie w usta pytanie: swoi-ż to czy obcy? W Kongresówce niewiele wiedzą o Galicji, bo nie mogą, a w Galicji nie wiele wiedzą o Kongresówce, bo nie chcą. Mówimy to z całem przeświadczeniem o słuszności naszej uwagi. Żaden z dzienników niemieckich nie ma tak niedbałych i niesumiennych korespondencyj z Francji jak dzienniki galicyjskie z Kongresówki. Dość wspomnieć niedawno ogłoszoną poważnie wiadomość o wprowadzeniu języka polskiego do szkół w królestwie, o wezwaniu Wielopolskiego do Petersburga i t. d. ażeby mieć pojęcie o tem, jak się tworzą baśnie nazywane korespondencjami z Warszawy.

Ale i odwrotna strona medalu nie wiele lepsza. Korespondencje z Galicji do pism warszawskich, albo są blade z przyczyny cenzury, albo zjadliwe z przyczyny hipokondrji korespondentów. Te ostatnie oczywiście jako oczerniające autonomiczne usiłowania Polaków, łatwiej przechodzą przez cenzurę — ale czy powinny być nieoględnie puszczane przez redakcje pism warszawskich — to kwestja. Nie potępiamy tu wcale satyry, która jest zdrowym objawem, ale potępiamy tę zjadliwość, która złe tylko strony podnosić każe i traktuje dzielnicę jednego kraju tak, jakby to byli obcy nie swoi, jakby piszącemu nie poprawa, lecz szykana tylko leżała na sercu.

To co byłoby całkiem na miejscu w wolnej prasie galicyjskiej, w pismach warszawskich robi takie wrażenie, że nieraz pytać musimy, czy podobna ażeby dzieci jednej matki zamiast dążyć do wzajemnego poznania, zamiast uczyć się jedni od drugich, szerzyły tylko rozdwojenie i niechęć wzajemną? Dziś wprawdzie mniej tych paszkwilów idzie z Galicji do Warszawy, ale natomiast rozwielmożnił się dziwny monopol na korespondencje, który wszystko w jednostronnem tylko świetle przedstawia. Zmiana więc nie wyszła nam na lepsze.

Jeżeli zdania galicjskich dzienników o prasie i stosunkach warszawskich tak często są niesprawiedliwe, jeżeli tak często wedle smutnego narodowego zwyczaju posądzamy się o zdradę i odstępstwo, to daje się to jeszcze do pewnego stopnia usprawiedliwić nieznajomością stosunków cenzuralnych, sprawiających, że artykuł warszawski zupełnie inaczej jest czytany i rozumiany w Warszawie, a inaczej we Lwowie lub w Krakowie; lecz jakże usprawiedliwić takie wystąpienie jak ostatni artykuł „Bibljoteki Warszawskiej“ w sprawie znanej broszury prof. Liskiego o wszechnicy lwowskiej, ? Co sądzić o tem, że pismo tak poważne, przekręcając fakta, nie rozumie nawet celu i tendencji swobodnie napisanej broszury, że pisze o niej tak, jakby o niej napisał niemiec i to niemiec w rodzaju p. Franzosa? — Czytamy tam między innemi, że do dwu uniwersytetów galicyjskich przybył teraz trzeci... „w Czerniejowcach“ (!) że zatem zarzut na statystyce ludności oparty jest małoważny! Autor więc stawia w jednym rzędzie uniwersytet polski, z tym, który dla jego podkopania założono! Pytamy się, kto pisze takie rzeczy: swoi czy obcy?

Ale dość tych smutnych uwag. Mamy nadzieję, że ogół nasz nie zaniedba tej sprawy i że obok pielęgnowania pewnej idealnej jedności, zabierzemy się gorliwie do zatarcia tych różnic nienaturalnych, bo opartych nie na różnicy przekonań, ale na sztucznym rozdziale, który wzajemną nieznajomość spowodował. Mamy nadzieję, że stosunek ten zmienić się musi, że rozdarte dzielnice coraz więcej odczuwać będą potrzebę szerszej i gruntowniejszej wymiany myśli, że pisma polskie z królestwa i księstwa, znajdą więcej niż dotąd prenumeratorów w Galicji, że zaczniemy pracować nad ujednostajnieniem i poprawą języka, który zbyt wielu kalectwom pod obcym wpływem uległ, że emigracja nie będzie nigdy uważaną i nawzajem sama przestanie się

uważać za coś odrębnego, że Litwa nie będzie przeciwstawianą Koronie a Kraków Galicji, że wobec dzieci jednej matki nigdy już nie będzie mogło powstać pytanie: swoi czy obcy?

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA JGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Achinger westchnął, rzucił czapką o ziemię z pasją.

— Kroć sto tysięcy djabłów — zawołał — albo zawiodła, albo nie zawiodła! No tak... co mam lepszego udawać niż jestem, rachowałem na starego że mi się opłaci, byłbym mu Rózię oddał. Cóż to ja pierwszy? albo to generał W. nie sprzedał swojej? albo to książę... nie odstąpił za dwa kroć sto tysięcy matki swoich dzieci? Każdy jak może pcha na świecie. Ja powinienem był wziąć pół miljona; ale to stary wyga, noszony ptak! ho! ho! No tak noszony, ale i jam nie głupi — rzekł Achinger uspakajając się nieco. Napiszcie do niego, że skandaliczny proces mu zrobię, a moi świadkowie poprzysięgną co zechcę, nawet to co nie było. Ultimatum musi zapłacić.

Barciński znowu zawrzał, ten stał spokojny.

— Albom to ja tyle czasu miał na niego darmo polować? hę? — spytał — to moje ma przepadać! Nigdy na świecie... Powiecie sobie żem szelma, to mi wszystko jedno... a ja go zedrę... i musi mi się opłacić.

— Jak ci nie wstyd! bezbożniku ty jakiś... — krzyknął stolnik, — mnie uszy więdną słuchając.

— No to dość — odparł szlachcic biorąc czapkę pod pachę — wiecie już o co idzie i na co się ważę. Wasza rzecz dać znać kasztelanowi, jaki ja mu przysmak gotuję. Dalipan lepszy od tej węgierskiej jajecznicy, od której to się zaczęło. Mam przy konsystorzu adwokata rozwodowego i takiego co małżeńskie sprawy prowadzi, pozwę go do nuncjatury, do... gdzie tylko pozwać można, a co będzie to będzie, oszkaluję go i owalam co wlezie.

— Ale z nim i żonę, — krzyknął Barciński.

— Abym ja jej pewny był, to co mi tam, że ludzie gadać będą, a zresztą rozwód to zagładzi... Tymczasem jejmość wpakuję do klasztoru na chleb i wodę. Napiszcie mu to wszystko, bo jeśli uczciwej rezolucji nie będę mieć do trzech tygodni, proces rozpocznę. Ludziom pociechę narobię! o narobię... Kłaniam uniżenie! — dodał w końcu czapką prawie zamiatając ziemię. Do stóp się ścielę stolnika... Interesiczek mój łasce jego powierzając, mam honor submitować się... służeczka, służeczka!

Barciński stał osłupiały, Achinger był już za drzwiami, dopadł swej biedy i pojechał.

Gdy stolnik wszedł potem powoli do pokoju żony, tak był blady, wzruszony, dotknięty widocznie wrażeniem rozmowy z sąsiadem, że pani Marcinowa spojrzawszy na niego przestraszyła się, myśląc że zachorował. Musiał się chwycić za stół aby nie padł.

— Co jegomości jest, na rany Chrystusowe? — zawołała.

Stolnik mówić nie mógł, sapał tylko, nie rychło przyszedł do siebie, a żona z załamanemi rękami stojąc nad nim wciąż tylko powtarzała:

— Co ci się stało? co za nieszczęście?

— A! to ten rozbójnik! — zakrzyknął nareszcie, pięścią o stół bijąc Barciński — wielem się po tym łajdaku spodziewał, ale takiej przewrotności, bezwstydu, wytartego czoła... no! po prostu zbójectwa...

— Cóż on chce? co zrobił?

Stolnik dopiero powoli opowiadać zaczął swoją z Achingerem rozmowę i groźby jego przeciwko kasztelanowi. Barcińska struchlała.

W głowie uczciwej kobiety podobna sprawa pomieścić się nie mogła, sądziła, że mężowi się przywidziało, musiał jej własne wyrazy kuternogi powtarzać.

— Mówże jejmość co ja tu mam robić! radź! — zawołał stolnik — czy posyłać natychmiast z oznajmieniem do kasztelana, czy zdać wszystko na wolę Bożą i czekać trzech tygodni? a nuż się ten rozbójnik zawstydzi i opamięta? sumienie go ruszy może? Kto wie czy nie były to tylko strachy próżne, aby kasztelana zmusić do okupienia się.

— Mój jegomość — rzekła — z człowiekiem, który takiemi rzeczami grozić miał bezwstydnie, nie ma co żartować, znasz dobrze rzecz całą, potrzeba nie strasząc Żeligi poczciwego, naradzić się z adwokatem. Adwokat jak spowiednik dotrzyma ci tajemnicy, nie rozpaple, a najlepiej oceni, czy istotnie to rzecz groźna, czy strachy na Lachy.

— Dobrze by to było, moja jejmość, ale co pomoże adwokat? on szaleniec wygra czy nie, dość że skandalu narobi, hałasu, i uczciwego człowieka splami. Czemu zapobiedz potrzeba, to nie przegranej, ale rozgłosowi i zgorszeniu. Wszak ci po troszę i na nasz dom to spadnie, bo nas oczernią żeśmy o tem wiedzieli dopomagali, i pośrednikami byli do niecnej intrygi.

— A! Boże litościwy! co począć! co począć! — zawołała załamując ręce stolnikowa — widzicie jam zawsze patrząc na tę Achingerowę miała złe przeczucie.

— Ale cóż ta biedna kobieta temu winna! — westchnął stolnik, — winienem ja, żem temu łajdakowi domu nie zamknął, do którego on wstyd i hańbę wniósł z sobą.

Biedni Barcińscy zgryźli się tak i rozmyślali nad tem co począć do późnej nocy, ale trudno przychodziło postanowić coś w tej mierze, i kasztelana uwiadomić w każdym razie zdawało się obowiązkiem. Pisać do niego nie wypadało, gonić nie wiedzieć było dokąd? Dwa czy trzy dni zeszły w niepewności, naostatek stolnik pomyślał o podróży, a piątego ruszył do pustelni na wypadek wszelki. Z ostatnich słów Żeligi domyślał się, że go tam znajdzie. Barcińska pożegnała ze łzami, przeżegnała i powróciła do swej komorki modlić się i płakać.

Z niepokojem w duszy pojechał stolnik, a w drodze co mu się różnych projektów w głowie naprzewracało, tego by na wołowej skórze nie spisał. Czwartego dopiero dnia stanął w karczemce, w której się spotkali byli pierwszy raz z Żeligą i tu się o niego rozpytywać począł, ale mu nic powiedzieć nie umiano. Wypocząwszy, pod noc puścił się do pustelni.

Wrota znalazł zatarasowane i nie rychło się z za nich głos odezwał przez odsunięte okienko. Stolnik był nawet na to przygotowany, że mogą nie wpuścić, podać więc tylko kazał kartę wcześnie, przysposobioną, przez ów otwór, który natychmiast się zasunął. Dobre pół godziny stała bryczka u bramy, nim nareszcie posłyszano brzęk łańcucha, którym drzwi były znać zaciągnięte i wrota się powoli otworzyły i Barcińskiego wpuszczono. W ganku postrzegł ze swym papierem stojącego Żeligę. Chociaż go tak niedawno widział, znalazł w nim zmianę niezmierną, tak był wymizerniał i wychudł, policzki mu wpadły, oczy się czernią obwiodły; zdawał się nawet złamany w barkach i jakby przygarbiony ciężarem jakimś.

— Kasztelanie! na miłość Boga, czyś nie chory? zmizerniałeś przez tych parę tygodni.

— Ale nic mi nie jest przyjacielu, rzekł Żeliga — nie, nic. Ujmij ciału obroku, a dusza będzie syta, powiadają duchowni, no! spełniłem przepis i nic więcej. Ciała ubyło, duszy przybywa!

— Nie spodziewałem się widzieć cię tak rychło — dodał Żeliga — wdzięczen jestem za pamięć i przyjaźń, ale cóż się to tam stało? co tak pilnego mogło cię tu zwabić do mnie?

— Będziemy o tem mówili — rzekł Barciński nie chcąc na wstępie uderzyć go tą wiadomością jak obuchem, — jest racja, bo bym bez niej się nie przywlókł.

— Zła? spytał kasztelan.

— No, nie dobra.

— A zatem dawaj gorąco na stół, oczekiwanie złego często gorszem jest niż ono samo, bo otwiera pole niezmierzonym domysłom. Chodź siadaj i mów. Cokolwiek zeszle na mnie ręka Boża, niech będzie błogosławioną.

Wahał się Barciński, ale kasztelan posadziwszy go, kazawszy przysposobić wieczerzę, naległ; naówczas ze łzami prawie w oczach i oburzeniem stolnik począł opowiadać jak najwierniej całą swą rozmowę z Achingerem i zakończenie jej wreszcie.

Kasztelan stał milczący, bladł, wzdrygał się, lecz wypił cierpliwie kielich do dna. Gdy gość ostatnich słów domówił, nastąpiła długa cisza. Żeliga łzy miał w oczach.

— Przypominasz sobie asińdziej — rzekł nareszcie po długim namyśle, owo cudowne widzenie moje w Barcinie i rozmowę z duchem nieboszczki? i pamiętasz co ona mówiła i polecała?

Barciński oniemiał z razu, związek teraźniejszych wypadków z owem zjawieniem dotąd mu ani na myśl nie przyszedł, olśnił go teraz dopiero nagle.

— Uważasz, że to było przepowiedzeniem? — rzekł Żeliga — żem był przestrzeżony, że drogę mam niemal wytkniętą, że

tej niewiasty nieszczęśliwej na pastwę temu łotrowi rzucić nie mogę.

— Ale ona jest jego żoną! — zawołał Barciński.

— Ani też ja myślę między małżeństwo wchodzić, a przecież muszę tak postąpić, aby ją ratować...

— E! po ludzku — krzyknął stolnik oburzony na Achingera, jabym wprost łajdaka powiesił i byłby koniec.

— Zostaw Bogu karę — rzekł kasztelan — a my litościwą dłoń wyciągnijmy tym, co niewinnie cierpią...

— Jak? w jaki sposób? bo ja nie rozumiem... — zawołał Barciński.

— Widzi mi się — zawołał Żeliga, — że ja nie zważając na kalumnie żadne, muszę powracać do Barcina, i tam z odkrytą twarzą w pogotowiu do odpowiadania za moje postępki.

— A przekupieni świadkowie? a rozgłos?... Nie lepiejżeby unikając zgorszenia...

— Co myślisz? spytał kasztelan.

— Ułożyć się z tym rozbójnikiem i gębę mu zatkać.

— Myślisz że to możliwe? Jużciż ja do rozwodu kobiety przywodzić nie będę... tego nie uczynię. Małżeństwo jest sakramentem, rozwód naigrywa się z niego; co Bóg połączył, człowiek rozdzielać nie ma prawa.

— To niech sobie trzyma i żonę i pieniądze — zawołał stolnik — byle milczał...

— Nie wiem czy i to na co by się przydało. Jakże z nim się układać? możnaż go potem, gdy zechce tę sztukę powtórzyć dla wyłudzenia znowu pieniędzy odeprzeć tem że sobie raz kazał zapłacić? Czyż zapłacenie nie jest oszkalowaniem kobiety i przyznaniem się do winy? a w jego rękach dowodem że miał słuszność?... Naostatek... nie! nie! — rzekł kasztelan — tak nic się nie zrobi!

— Więc jak? zapytał Barciński.

— Nie wiem — odpowiedział gospodarz — ja jak ty jestem przybity, znękany, nie umiem myśli zebrać i zgłębić tej przepaści i podłości i bezwstydu. Nie jestem przywykły sięgać w kałużę i z błotem mieć do czynienia, a to kał i paskudztwo. My oba kochany stolniku, mimo żeśmy grzeszni ludzie, jesteśmy jeszcze za prości, za szczerzy, za niewinni, ażebyśmy sobie dali radę teraz, gdzie kresu niegodziwości oznaczyć nie potrafimy. Na to potrzeba człowieka co by z chorobami namiętności i upadków często miewał do czynienia, trzeba duchownego lub prawnika oswojonego z trupiarnią i zgnilizną. Zatem nie łamiąc sobie głowy próżno, jutro siędziemy na bryczkę z waszmością i pojedziemy do Warszawy. Mam tam człowieka wielkiej zacności, biegłego w znajomości praw i wypadków wszelkich... udamy się do niego. Jak na spowiedzi wyznam mu wszystko, bo tu nie ma czego bym się miał wstydzić, a co on wyrzecze, usłucham. Na dziś dość żółci przelewać.

Wieczór zszedł na obojętniejszych rozmowach, chociaż stolnik nie mógł wytrzymać, kilka razy wtrącił coś o Achingerze i klął go nielitościwie, a samo wspomnienie tego imienia całego burzyło. Kasztelan choć tu o niego szło, był daleko spokojniejszym.

Noc minęła prędko, o świcie korzystając z chłodu puścili się w drogę, a na noc zajechali do pałacu kasztelana, który wszakże oznajmił ludziom aby o bytności jego najgłębszą zachowali tajemnicę.

Tegoż wieczora wyprawiono kartkę poufną do mecenasa Opoczyńskiego, a marszałek dworu przyniósł odpowiedź, że nazajutrz o naznaczonej godzinie służyć będzie. Barciński zamówiony był także na ósmą, jako świadek rozmowy. Kończyli jeszcze ranną kawę gdy drzwi się otwarły i wszedł pan mecenas Opoczyński. Był to mężczyzna średniego wzrostu, twarzy zawiędłej, na której pierwszy rzut oka nie wyśledziłby był rozumu błyskającego w chwilach ożywienia; więcej na niej znać było znużenie życiem i smutek. Niepozorny człowiek wszedł milcząco i usiadł pokornie.

— Wiele to lat jak my się znamy, panie Antoni? — spytał kasztelan spokojnie.

— Jeśli się nie mylę dwadzieścia dochodzi — rzekł mecenas.

— Spodziewam się, że mnie kochany panie Antoni znasz dosyć, nieprawdaż? — mówił gospodarz. Jakbyś też sądził, czy gdyby ci kto powiedział, żem ja małżeństwo skłócił, uczciwe stadło chciał poróżnić, cudzą sobie żonę przywłaszczyć, lub w pokątne bawić się miłostki, uwierzyłbyś ty temu?

— Właśnie panie kasztelanie, nie dalej jak dnia wczorajszego — odparł zimno mecenas — gardłowałem że to być nie może.

Kasztelan osłupiał.

— Jakto? Waćpan... broniłeś mnie? a któż obwiniał?

— Jeden z moich towarzyszy z palestry radził się mnie.

— Więc już ktoś poczynił kroki? zawołał przelękły Barciński.

— Żadnych jeszcze kroków nie zrobiono, ale ujęto prawnika i naradzono się *de probabili ewentu* sprawy.

Niespodzianym uderzony ciosem Żeliga, padł na krzesło milczący, stolnik chodził rwąc włosy z głowy.

— Otóżem się spóźnił! A nie byłoż mi jechać drugiego dnia! zaraz! tegoż wieczora!

— Wiesz waćpan całą rzecz? spytał po chwili ochłonąwszy kasztelan.

— Tyle tylko co mi z tamtej strony powiedziano, radząc się poufnie.

— Ażebym sam nie był własnym obrońcą, kochany stolniku — rzekł kasztelan — uzbrój się w cierpliwość i ty opowiedz panu Antoniemu jak się rzeczy miały.

Nie prędko się zabrał Barciński, ale naostatek począł mówić i dokazał cudu, bo czując w sobie wrzenie hamował je tak, że chłodno sprawę całą aż do ostatniej swej rozmowy z Achingerem opowiedział.

Opoczyński słuchał uważnie nie okazując po sobie ani zdziwienia ani zgryzoty ani płochej ciekawości, znać było że badał ranę i szukał sposobu uleczenia jej. Wrzucił kilka pytań nawiasem, zamyślił się, milczał.

Gdy się ten rodzaj inkwizycyj ukończył, mecenas spuścił głowę i długo nie mówił słowa.

— Szanowny kasztelanie — odezwał się nareszcie — znam pana dawno, i mogę powiedzieć, że o wszelkiej czynności przypisywanej mu, *a priori* potrafię osądzić czy jest możliwą czy nie, czy mogła się stać lub jest niepodobieństwem. Zatem dla mnie wątpliwości nie ma najmniejszej żeś pan niewinny, ale w oczach ludzi, ogółu, dla świata, który rychlej wierzy w złe niż dobre, dla złych, co radziby świętego pochwycić na grzechu, aby sami się mniej występnymi wydawali... dla zgrai ulicznej i opinji publicznej, pan się nieochybnie wydasz winnym, Zle się wyraziłem... okażesz się słabym przebaczą ci, co gorzej poklasną nawet, a ich aplauz panu będzie najsroższym, najdotkliwszym ciosem. Sprawa jest zła... pan byłeś poczciwym, poszedłeś za sercem, ulitowałeś się niedoli, aleś to uczynił nieostrożnie, dałeś się pochwycić niegodziwcowi. Co zrobimy jeśli postawi świadków, którzy przysięgną żeś pan uwodzicielem? Prawo przewiduje wiele występków, ale są głębiny niegodziwości, do których nie sięga nawet przypuszczeniem, aby ludziom do nich nie pokazało drogi. Pozory są wszystkie przeciwko panu.

— Jakże się mam ratować? — spytał chłodno kasztelan.

— Jeżeli proces ma być, strawić życie uczciwe i czoło jasne przeciw potwarzy i krzywoprzysięztwu... Drobnych sposobów obrony jest tysiące, ale to są może takie środki, których może byś pan nawet w poczciwej sprawie użyć nie chciał; kto inny starałby się pozyskać ludzi tych co mogą być za świadków użyci, przekupić ich, rozproszyć, złamać niegodziwego, odejmując mu moc szkodzenia. Ale na to potrzebaby jechać na miejsce, działać potajemnie, przekupywać.

— W istocie — rzekł kasztelan, — ja tego się chwycić nie mogę, myśl o innych sposobach...

Opoczyński milczał zafrasowany, ramionami zżymał, tarł włosy, milczenie jego było zastraszające.

— Achinger przysłał czy przyjechał tu sam? — spytał kasztelan.

— Zdaje się, że tu sam być musi — odparł mecenas — wczoraj przysłał mi swojego obrońcę, wiedząc że ja się interesami kasztelana trudniłem, polecił on mi, abym panu zaraz o tem znać dał, dopóki strona nie uczyni kroków i gotową jest jeszcze do cichego ukończenia sprawy.

— Cóż się stało z żoną? — przerwał Żeliga — jeśli on wyjechał. Zostawić jej sam nie mógł.

— Z tego co mi mój towarzysz mówił wnoszę, — odpowiedział Opoczyński — że żona jest jeszcze na wsi pod strażą sług, w rodzaju niewoli i zamknięcia. Jak skoro sprawa się rozpocznie, odwiezie ją do panien Brygidek do Lublina.

Kasztelan zadumał się.

— Radź co robić! — spytał mecenasa — ratując kobietę niewinną bo mi o mnie najmniej chodzi, mamże mu zapłacić? Byłoby to przyznaniem się do jakiejś winy. (C. d. n.)

---

*

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

Wszystko jest swojskie, uczucia są żywe i szczere, wyrażenia proste, naiwne, pełne czasem głębokiej rzewności. Są to następujące pieśni: „Trzeba się kochać,“ „Rozyno, gdybyś wiedziała“ (wiersz z rozprawy o szczęściu człowieka,) „Zdrada,“ „Dobranoc Jacenta“ (Mazurek), „Wieśniaczka,“ „Przypomnienie dawnej miłości *).“ W trzech ostatnich zbliża się poeta do tonu ludowej pieśni **). Erotyk „Dobranoc Jacenta“ odznacza się nienaśladowanym wdziękiem, właściwym tylko naiwnej muzie Karpińskiego.

Dobranoc Jacenta,
I wam usta czyste,
I słodkie oczęta
I piersi parzyste.

Ja nie spać statecznie
Całą noc gotowym,
Bo kto spi bezpiecznie
Przy skarbie takowym?

Wzięłaś mi sen cały
Oczu twych czarami,
Nie będę zuchwały,
Żartował z oczami.

Pójdęż ja do fary,
Jak się na dzień zbierze,
Na te twoje czary
Zakupię pacierze.

Kupięż ja i świecę
Za złotowiec cały,
Bym nie miał tęsknicę
Po Jacentej białej.

Przynajmniej uproszę,
Jeśli jest zuchwała,
By, co ja ponoszę,
Tożsamo cierpiała.

Wiersz „Zdrada“ jest pełen głębokiej rzewności: oczy kochanki były dla poety światłem przewodniem w życiu; gdy go kochanka zdradziła, zgasło to światło i ciemności ogarnęły poetę.

Poznałem błędy swoje;
Nadzieje kłamliwe;
Te piękne świateł dwoje,
Jak były zdradliwe!
Długo mnie ukradzioną
Ścieżką prowadziły,
Nakoniec w niezbrodzoną
Przepaść pogrążyły.

. . . .

W pośród lasów zarosłych
Chodząc w mej tęsknicy,
Pytam się drzew wyniosłych
I czystej krynicy,
Którędy wyniść mogę
Na dzień utracony?
Wszędzie zaległ mi drogę
Obłęd pokręcony.

Są to, śmiało powiedzmy, obok jednej sielanki i niektórych pieśni religijnych, najpiękniejsze rzeczy, jakie wydała muza Karpińskiego, jest to najlepsza liryka, jaką wydał wiek XVIII w Polsce. Za to pieśni moralno-filozoficznej treści są bardzo słabemi utworami, pozbawionemi wszelkiego poetyckiego polotu; jest to zimna, czcza gadanina, spleciona z samych komunałów. Karpiński miał wielki pohop do dydaktyki, ale nie miał bynajmniej odpowiedniego talentu. Dla tego z dość licznych utworów tego działu bardzo mało znajdzie się takich, któreby się czemkolwiek zalecały. Tam tylko, gdzie zadrga struna religijna, tam się obudza na chwilę czysty liryzm, aby się znów pogrążyć w sentencjonalności. Do najudatniejszych utworów tego rodzaju należą: „Trwoga człowieka bliskiego śmierci,“ „O wielkości Boga“ i „Do przyjaciela“ (Pieśń II. ks. I.) Ta ostatnia pieśń byłaby ładną, gdyby ostatni jej wiersz nie psuł całego wrażenia, nadając całości dydaktyczny charakter.

Ty jeden umiesz łzy z oczu ocierać,
Ty strapionemu sercu folgę czynić;
Od ciebie można zarówno odbierać,
Czyli chcesz chwalić, czyli za co winić,
Na twojem łonie zasnąć mi najmilej,
I twoja rada najlepiej posili.

Na równe części los mój z tobą dzielę,
Ty jeden wchodzisz w skrytość mego ducha.
Razem się z tobą smucę, czy weselę;
Ciebie uparta nawet skłonność słucha.
Twój rozum moją popędliwość trzyma,
Takim byś miał być, ale cię nikt nie ma.

Do ostatniego wiersza możnaby mniemać, że poeta przemawia do żywego, rzeczywistego przyjaciela. Ostatni wiersz naucza, że to jest tylko niedosięgniony wzór do naśladowania.

Pieśni obywatelskiej, patrjotycznej treści mają także przeważnie dydaktyczny charakter, i nudzą tkliwą sentencjonalnością; są jednak pomiędzy niemi niektóre, będące owocem głębokiego uczucia patrjotycznego. Dwie szczególnie mam na myśli, jedną, pisaną pod wpływem radośnego uczucia na widok odradzającej się ojczyzny, drugą pod wpływem smutnych uczuć po ostatecznym upadku narodu.

Są to: „Na dzień 3go maja“ i „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta.“ W pierwszej przeznaczonej do śpiewu, sam rytm tchnie weselem. Wspomniałem już o niej; jest ona najczystszym wylewem patrjotycznego uczucia Karpińskiego. „Żale Sarmaty“ są rozwleklejsze, ztąd nie we wszystkich strofach uczucie smutku, będące ich treścią, jest zarówno głębokie. Niektórym jednak strofom nie można odmówić wielkiej siły n. p.:

Ojczyzno moja na końcuś upadła!
Zamożna kiedyś i w sławę, i w siłę!
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę! itd.

Z wierszy, które do żadnego z naszych działów nie dadzą się zaliczyć, zasługuje na szczególną uwagę ów „Powrót z Warszawy na wieś,“ którego genezę już przedtem obszernie podałem. Pisząc go, nie miał Karpiński żadnych wzorów przed sobą, pisał jak czuł, nie dbając o to, czy to, co pisze, zgadza się z prawidłami jakiejkolwiek poetyki, a czuł konieczną potrzebę wywnętrzenia się i wytoczenia skargi przed światem i potomnością na tych, którzy go zwiedli. To też wiersz ten ma cechę wielkiej oryginalności, a chociaż uczucia, które go natchnęło, wzniosłem nazwać nie można, taką przecież tchnie on szczerością i naiwnością, że zmusza każdego czytelnika do współczucia. (C. d. n.)

*) Możnaby jeszcze do nich dodać pieśń „Róża“ i erotyk „Do grzecznej tylko Lindory.“ Co się tyczy wiersza „Przypomnienie dawnej miłości,“ to pieśń ta w zbiorowych wydaniach Karpińskiego była zawsze drukowaną z opuszczeniem dwóch zwrotek, które znajdują się w „Dzienniku Warszawskim“ 1827 (T. 7. str. 767). Pieśń by ta zresztą nie straciła na tem, gdyby i parę innych zwrotek z niej wyrzucić.

**) Zupełnie ludowym tonem odznacza się „Pieśń mazurska“ i „Pieśń dziada sokalskiego,“ ale wartość ich poetycka bardzo mała.

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha hr. Dieduszyckiego.

Sztuka starorzymska.

(*Ciąg dalszy*).

Prócz tego poczyniono jeszcze w murze i w około okien jakby miniaturowe fasady korynckie. Dwie małe kolumny dźwigają mały przyczołek, a stoją na mniejszym gzymsiku, tworząc za pomocą żłobków swoich i rzezanin wdzięczne ramy dla licznych posągów. Główną jednak ozdobą całej świątyni był to drugi niby grecki budynek do rzymskiego przybudowany. Był to wspaniały portyk o korynckich kolumnach, przed wejściem do świątyni, na sześciu schodach wysoko ponad poziom wyniesiony. Portyk ten przestronniejszy i bardziej cienisty od każdej kolumnady greckiej, mógł umieścić wielu ludzi pod swoim cieniem, a opierał się na bardzo małej względnie ilości rzadko ustawionych kolumn.

Kolumny te są z szarej opoki, a były niegdyś pokryte żłobkowaną powłoką porfirową — a więc znów z drogiego kamienia wykonaną. Dziś i porfiru nie widać i żłobków. Kolumn tych stanęło ośm z frontu. Tu zachowano i proporcje i odległości greckie, to jest mnogość żywych lotnych linij dźwigających spokojny strop. Za niemi już z rzymska ułożono dalsze rzędy kolumn. Stanęły tu w dwu rzędach po cztery kolumny. Są one tak dalekie od siebie, że wydają się samotnemi, i że oka i duszy nie porywają do góry, ku ciężkim pozłacanym kasetom. Tworzą one tylko przestronne chodniki, w których nawet tłumom mogło się wydać samotnie. Bo idealne życie kolumn góruje tu nad życiem ludzi, a owe kolumny stoją tak rzadko, że portyk wydaje się cienistem pustkowiem.

Nad kolumnady zwisł bogaty fryz i trochę nadto ciężki przyczołek. Na przyczołku odbijały posągi z białego marmuru o tło porfirowe. W głębi wreszcie lśniły złote blachy dachu i kopuły.

Gmach, który tak powstał, był dalekim od doryckiej grozy, nie tętnił greckiem życiem, nie czarował grecką harmonją. Kolumny owe i fryzy nie w Rzymie nawet, ale gdzieś w Ateaach rzeźbione, a potem przez morze spławione, wydawały się jak łupy ludów podbitych, zdobiące zimny, bez serca ale mocny, martwy gmach Rzymu. I gdy się Rzymianin przechadzał po olbrzymich próżnych przestrzeniach czy to świątyni, czy to portyku, mógł z dumą wezwać Greka, by mu pokazał gmach, w którymby się tak potężnie mury do takiej wysokości wzniosły. Mógł się chełpić, że niema w całej Grecji świątyni, którejby piękność i skarby można podobnie jednem objąć spojrzeniem. Kto stanął w pośrodku kopuły, ten widział od razu i kolumny, i łuki, i wzory, i naśladowania dalszych kolumn, i wizerunki świątyni i posągi ludzi. Na wewnątrz lśniły marmury kosztowniejsze od złota, na zewnątrz jaśniało wszędzie złoto. A kto się znał na kunszcie budownika, ten odrazu ocenił trudności, z któremi walczył Rzymianin, co dźwignął kopułę taką jak kopuła Panteonu. Tak trudnego technicznie zadania niepokonał Grek żaden.

Panteon ćmił bogactwem, tysiąc szczegółów zajmujących łączył w jednej łatwo przejrzanej przestrzeni, zadziwiał znawcę, i pochlebiał rzymskiej dumie, co w gmachu rzymskim raz więziła, a drugi raz pilastrami jakby wydrzeźniała greckie kolumny.

Ale nie Panteon, jedno Koloseum było dla Romy tem, czem Panteon był dla Aten. W Atenach szczycono się przedewszystkiem świątynią, w Rzymie miejscem widowisk. W tem Koloseum zabijali się między sobą zbrojni niewolnicy dla zabawy panów świata. W tym teatrze odbywano olbrzymie łowy, w których lwy były łowcami a ludzie zwierzyną.

Otóż właściwem miejscem igrzysk była owalna, bogatemi marmurowemi mozaikami ozdobiona, a olbrzymia posadzka. Kształt tej posadzki owalny, a rozmiary jej przewyższają ogromem wnętrze wszelkiego innego gmachu na świecie, a są szlachetne i harmonijne, to jest łatwo zrozumiane, gdyż tu oś krótsza 300 a dłuższa 400 stóp wynosi.

Otóż potężny murowany pierścień wznosił się na wysokość piętrowej kamienicy w około tego ogromnego posadzką zdobnego rynku. Nad tym pierścieniem piętrzyły się schody strome, które otaczały plac ogromny, a wznosiły się zewsząd wielkiem kołem na wysokość smukłej kościelnej wieży. Po nad niemi, w zawrotnej już wysokości sterczał w głębi jeszcze jeden, na cztery piętra wysoki mur zewnętrzny.

Gmach cały był prawie dwa razy tak wysoki jak Panteon, a zewnętrzne objęcie elipsy murowanej wynosiło blisko wiorstę!

Dla widza stojącego na arenie, albo dla widza zasiadającego na schodach owych kolistych, czyli w tak zwanym amfiteatrze, schody owe i amfiteatr przedstawiały widok olbrzymiego koła, w którem się szczegóły zamazywały, a w którem widać było tylko olbrzymią, zewsząd widną, z rzymska w niemej abstrakcji zamkniętą masę, na którą patrząc mógł się Rzymianin chełpić tem, że przewyższył gmachy Egiptu bajeczne. Koloseum zadziwiało ogromem, mroziło abstrakcyjną i nierozczłonkowaną jednością, a ćmiło skarbami. Marmur wielobarwny pokrył bowiem wszystkie schody, a tłumy posągów napełniały amfiteatr, podczas gdy bogate i wielobarwne mozaiki zdobiły każdą gładką przestrzeń. Te mozaiki na posadzce z gruba tylko były rysowane, a delikatniejsze i lepiej wykonane obrazy jawiły się widzowi na górnym murze, i na dolnem podmurowaniu, wszędy do koła. Mozaiki te były tak olbrzymich rozmiarów, że już z daleka biły w oko i barwą i życiem. Tak mógł tedy Rzymianin oglądać wszędy do koła skarby wielowładnego grodu, i mógł podziwiać potęgę Cezarów, co tak olbrzymi gmach dźwignęli. A gmach to był i ogromem nieorganicznym i bogactwem bezładnem, i przeznaczeniem iście barbarzyński.

Na zewnątrz olbrzym przybrał inne wyższe piękno. Rozumie się, że tłum krużganków różnorodnych roił się pod schodami przeznaczonemi dla widzów. Krużganki te ułożyły się w poziemie i trzy piętra. Otóż nieznany nam z imienia budowniczy, który dał plan do Koloseum, otoczył każde piętro olbrzymim zewnętrznym krużgankiem, po którym lud mógł się wolno przechadzać. Każdy z tych kulistych krużganków odłączony od świata zewnętrznego łukami tylko, a takie krużganki zowiemy w języku budownictwa nowożytnego lodżjami.

Koloseum przedstawia tedy na zewnątrz wielkie podmurowanie eliptyczne, podmurowanie mające formę olbrzymiego jaja, ponad którem piętrzą się trzy piętra arkad, uwieńczone czwartem piątrem muru.

Na dole podziwiamy olbrzymie ciosy, na każdem piętrze można 80 łuków policzyć.

W łukach starano się o elegancję form, czyniąc ich wysokość dwakroć większą od ich szerokości. Z resztą starano się z rzymska głównie o to, by wrażenie kołującej nieskończoności obudzić. Są tu jakby trzy piętra wodociągów ujętych w koło, w zawrotny symbol wieczności, w której się łuki i arkady w nieskończoność powtarzają.

Owe trzy piętra łuków wyglądają lotnie i hardo. Ulatują w powietrze. Polot nieskończony budowy znajduje wreszcie granicę w kolistym jednostajnem murze, będącym niby koroną Romy uniesioną w powietrze.

Ale Rzymianie chcieli teraz wlać silniejsze tętno indywidualnego, osobistego życia, w swoje łuki. Pragnęli z grecka uwydatnić i ozdobić części gmachu, i chcieli uczynić z owego wieńca krużganków organizm rozczłonkowany na żywotne części. Piętra, gzymsami od siebie oddzielone, już pierwszy podział stworzyły; drugiego podziału dokonał wielce szczęśliwy pomysł.

Łuk traci swoją osobistość przelewając się w filar i drugiemu łukowi wspólny. Aby temu zapobiedz, należy odgraniczyć wyraźnie łuk od filaru i od przedłużenia tegoż, od muru ściskającego łuk. Przez to osobistość łuku ogranicza się do właściwego półkola, a filary stanowią osobne indywidualności między łukami. (C. d. n.)

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

Franciszka Ksawerego Martynowskiego

(Ciąg dalszy).

Podobnie jak dzisiaj, tak i w dawnych stuleciach opłakany był stosunek ucznia czyli terminatora do mistrza towarzyszy. Pomimo, że ustawy cechowe zwracały uwagę na terminatorów, przecież zawsze podlegali oni bezpośrednio osobistej woli lub kaprysowi pana majstra lub czeladzi. Terminator przyjęty na pewną umówioną lub przepisaną ustawami cechowemi liczbę lat, pełnił wszelkie funkcje służącego — zanim go zaznajamiano z rzemiosłem. Zarówno mistrz jak i towarzysz używał go na posyłki i służbę. Służba wię i nielitościwe obchodzenie się stanowiły pierwszą szkołę rzemieślniczego ucznia, — która, pomimo że mu mocno ciężyła, nie mógł przeciw niej zaprotestować, żeby na siebie nie ściągnąć gniewu, razów, lub wydalenia z terminu. Tylko dobre serce i wola przełożonych mogły go od różnych dolegliwości uchronić. Nim jednak uczeń został przyjęty do nauki i nim został zapisany w księgi korporacyj rzemieślniczych, wolno mu było dwa tygodnie zostawać u majstra na próbie bez żadnych wzajemnych względem siebie obowiązków; po tem już musiał święcie przeterminować cztery lub siedm lat, zanim został wyzwolony na towarzysza. Jedynie synowie zmarłych mistrzów mieli krótszy czas terminu. Zwykle dwa lub trzy lata wystarczało, aby ich wyzwolono na towarzyszy.

W sprawie towarzysza czyli czeladnika popowiemy za Moraczewskim, że on stał niejako w równej już godności z mistrzem: jadał z nim razem u stołu, nie przez niego lecz tylko przez braci mógł być karanym. Mistrz miał obowiązek czuwać nad jego obyczajnością, i gdyby towarzysz poniedziałkował, na noc do domu nie przyszedł, albo tak zbezcześcił godność rzemieślniczą, iżby z katem, z parobkiem kata (butlem) grał w kości, arcaby lub karty, obowiązany był to donieść pod winą przepisaną za milczenie. Czeladź każdego rzemiosła, a czasem i kilku rzemiosł miewała oddzielną swoją gospodę, do której się schodziła wieczorem na piwo i zabawę. Dla dozoru jednak i przestrzegania przyzwoitości, dwóch młodszych mistrzów miało obowiązek czuwania z kolei w tej gospodzie. Około przesilenia dnia z nocą, czeladź odbywała po swoich gospodach b u r g a t t y, czyli wspólne wieczerze. Od burgattu w czwartek po świętym Michale obowiązana była robić od jedenastej na wielkim zegarze (po zachodzie słońca) cztery godziny w nocy, od burgattu zaś w czwartek po półpościu już od wschodu do zachodu (J. Moraczewski dzieje. T. 6. str. 73)

O ile bractwa rzemieślnicze dawały wolność w osobistych stosunkach towarzyszom, o tyle znowu najczęściej krępowały ich stosunki zarobkowania. Już to samo było niekorzystnem dla czeladzi, że zwykle panowie starsi cechu bądź osobistą uchwałą, bądź paragrafami statutu oznaczali z góry płacę, jaką miał pobierać towarzysz. Oczywista, że nie mogło się tu obejść bez stronniczości na korzyść panów majstrów — czeladnik więc musiał robić za takie wynagrodzenie, jakie mu ofiarowano. Tylko niektóre rzemiosła kunsztowniejsze dozwalały czeladnikom umawiać się z mistrzami o cenę roboty. Godzono się wtedy zwykle od sztuki. Towarzysz nie mógł opuścić swego mistrza pod winą kary, przed poprzedniem dwutygodniowem wypowiedzeniem roboty.

Powyższe ograniczenie dochodu zarobkowego było niekorzystne dla towarzyszów, ale na tem jeszcze nie koniec; — mistrze trzymali się zawsze między sobą solidarnie, do czego ich skłaniały ustawy cechowe i własny ich interes, a solidarność ta znowu wiązała osobistą swobodę towarzysza, zwłaszcza w wyborze miejsca czyli warstatu. Względnie zatem do onej solidarności mistrzowskiej, czeladnik obowiązany był opuszczać zajmowany warstat, a przenieść się do drugiego, jeżeli tego dobro innego rzemieślnika wymagało; przekonywują nas o tem ustawy cechowe, a tu zacytujemy jeden z wielu przykładów. Powiada tedy ustawa „a którzyby brat miał dwóch towarzyszów i dwóch uczniów, a drugi brat nie miałby, tedy będzie powinien spuścić i pozwolić jednego towarzysza bratu niemającemu i proszącemu o spuszczenie do siebie towarzysza jednego, a on brat drugi zostawić i zachować sobie może towarzysza drugiego do owych dwu uczniów. Ale jeżeliby takowy brat nie chciał spuścić towarzysza dwóch mając proszącemu, takowy karan być ma winą pół grzywny pieniędzy do bractwa daną. A jeżeli też brat brata nie żądał o spuszczenie towarzysza, tedy tego czasu może chować towarzyszów ileby chciał".

Ograniczenie tego rodzaju zarówno musiało niekorzystnie oddziaływać na mistrzów jak i towarzyszów; podczas bowiem gdy krępowało osobistą wolę ostatniego, nie pozwalało jednocześnie rozwijać pierwszemu warstatu tak, jak tego wymagały jego finansowe i rzemieślnicze interesa. Szewcy n. p. Kobylińscy uchwalają (J. Łukaszewicz. Opis miast T. I str. 125 i 126) iż „żaden brat nie powinien chować czeladzi trzech pod winą czterech złotych polskich. A jeżeliby

w czeladź zupełne warstaty były, a wtemby czeladź wędrowna przyszła, tedy bracia mogą dać robotę po jednemu za wiedzą cechmistrzów do dwóch niedziel. Czeladź też od swego mistrza przed święty, to jest świątkami, Wielką Nocą, Bożem Narodzeniem, i przed jarmarkiem nie ma odstawać na trzy całe niedziele, ale robotę do świąt i jarmarku kończyć pod winą wyżej pomienioną". Gdyby się zaś nie stosowano do tej uchwały, gdyby towarzysz ubieżał z warstatu, lub mistrz wydalił go nie we właściwym czasie — statut cechowy na ten wypadek przepisuje osobne grzywny. Nie wolno też było mistrzowi odmawiać towarzysza, robiącego w warstacie innego brata. W przyjmowaniu zaś nowych czeladzi zawsze miał pierwszeństwo brat starszy przed młodszym. Na przypadek próżniactwa i zaniedbywania warstatu, mógł mistrz bez żadnego skrupułu wydalić od siebie leniwego towarzysza, a natomiast przyjąć innego.

Każda kwestja może mieć swoje dobre i złe strony, to też i ustawy a raczej organizacja cechowa, pomimo niekorzystnych wielu właściwości, posiadała w sobie nie mało stron prawdziwie dodatniego znaczenia. Instytucje owe, oparte na zasadzie solidarności niemogły patrzeć obojętnie na biedę lub upadek ich członka, więc w razie potrzeby spieszyły mu z materjalną i moralną pomocą. Oprócz tego, że zajmowały się ustaleniem losu wdów mistrzowskich, o czem już wyżej mówiliśmy, dawały w razie potrzeby zapomogę biednemu majstrowi, bądź to w pieniądzach brackich, bądź w materjale fabrycznym lub robotniku. W duchu też owych zasad, szewcy kobylińscy uchwalają, iż „potrzeby do robienia rzemiosła tego należące, aby każdemu bratu udzielane były, to jest, co się tknie skór łubów, dębów, i innych podobnych, a ktoby się temu sprzeciwiał, w rozdzieleniu jeden drugiemu czasu potrzeby, przypadnie winy pół kamienia wosku". Nadto skrzynka, a raczej kasa bracka, bywała rodzajem naszych kas zaliczkowych, z których mistrzowie zaciągali pożyczki, bądź na zasadzie osobistego kredytu, bądź na mocy złożonego fantu.

(C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

Pan Dumphy pozwala sobie wypocząć.

Był gorący dzień na kalifornijskich wybrzeżach. Najstarsi amerykańscy mieszkańce nie pamiętali podobnego i chociaż świadectwo hiszpańskich kalifornijczyków poczytywano za niedostateczne, gdy w grę wchodziły interesa Amerykanów, wszakże teraz twierdzenie ich, że od sześćdziesięciu lat nie było takiej pogody, przyjmowano bez zarzutu. Fakt podany przez don Pedra Peralta, że wielkie trzęsienie ziemi, które obaliło mury misji San Juan Baptisto poprzedził tydzień takich samych nienormalnych meteorologicznych stosunków, został przytłumony jak należy, jako mogący szkodzić przybywaniu osadników.

W każdym razie było gorąco. Zwykłe południowe perjodyczne wiatry, powstrzymały swój oddech i całe wybrzeże było, że tak powiemy, uśpione snem śmierci Wieczorne mgły osłaniające zorane wiatrami pochyłości gór nadmorskich również znikły; niezmierny cichy Ocean leżał wygładzony, lecz połyskiwał niecierpliwie; piasczyste wydmy, żadnym wiatrem nie owiewane, wypiekały pęcherze na nogach pieszych przechodniów.

Na ten raz szerokie werandy kolumnady i balkony budynków w San Francisco okazały się przydatnemi i odpowiadającemi celowi. Napół ubrani ludzie przebywali pod nimi dziwiąc się nowości. Francuskie okna, zwykle zawsze pozamykane z powodu gwałtowności wiatrów popołudniowych, teraz stały otworem. Szybki energiczny krok, właściwy mieszkańcom San Francisco, spieszącym za interesami, lub rozrywką, przeistoczył się w próżniacze bezcelowe wałęsanie. Restauracje zapełniane były spragnionym tłumem, wybrzeża mnóstwem ludzi, nie uznających dotąd pokrzepiającej siły powietrza morskiego. Drogi wiodące przez rozpalone piaszczyste wzgórza ku oceanowi, przez cały dzień natłoczone były pojazdami. Od dwudziestu czterech godzin zdawało się, że zapomniano o interesach. Ponieważ upał trwał ciągle, a wiatr nie chciał spełniać zwykłego swego obowiązku, dostrzegał się pewien zwrot w zdaniach i poglądach, a nawet powątpiewanie co do zbawienności klimatu; wyszły na jaw rozmaite kacerskie zdania i pan Dumphy jako też kilku innych magnatów świata finansowego, mimowolnie dochodziło do konkluzji, że jeżeli termometr ciągle będzie się podnosił, to w takim samym stosunku spadać będzie stopa procentowa.

Ale pan Dumphy, który i teraz znalazł się na wysokości sytuacji, przez cały ranek siedział w swem biurze i z całą potęgą swej natury energicznie odrzucał wszelkie propozycje swych klientów do sfinansowania niezwykłego stanu powietrza. P. Dumphy rozpiął kołnierz od koszuli, i ogółem wziąwszy stał się cokolwiek mniej imponującym, aniżeli przedtem. Niemniej jednak panował nad sytuacją w zupełności, i dwaj goście, którzy tylko co weszli, zauważywszy negliż wielkiego człowieka, uznali bezwłocznie za słuszne, gdy i sami porozpinają kamizelki i porozwiązują krawaty.

— Gorąco, powiedział pan Pilcher, znakomity przedsiębiorca budowli.

— A tam! odrzekł p. Dumphy, tam musi być straszliwie, na wybrzeżu atlantyckiem. Setkami umierają ludzie od słonecznego porażenia; już tam taki zwyczaj u nich. Tu, u nas niemasz nic podobnego! Tu człowiek może wytrzymać takie rzeczy, których tam nie zniosłby.

I wykazawszy w ten sposób zalety kalifornijskiego klimatu, p. Dumphy zaraz zwrócił się do interesów.

— Złe wiadomości z One horse gulch? zapytał od razu.

A ponieważ był to właśnie przedmiot, o którym przybyli chcieli się rozmówić, o czem p. Dumphy wiedział najdokładniej, dodał więc szorstko:

— Co macie do zaproponowania?

P. Pichler, który jako akcjonarjusz bardzo znaczny miał udział w kopalniach Conroy, odpowiedział z wahaniem:

— Słyszeliśmy że pokład źle wydaje.

— Djabelnie źle! odrzekł Dumphy. Co macie do zaproponowania?

— Sądzę, mówił Pilcher dalej, że jedyny ratunek zawiera się w sprzedaży, nim się historja rozgłosi.

— Nie! odrzekł Dumphy krótko.

Oba spojrzeli po sobie.

— Nie! ciągnął dalej z uśmiechem, który był raczej objawem logicznym, a nie objawem wesołości, — nie! musimy mocno trzymać się moi panowie! Tylko uważcie! Mieliśmy wprawdzie z kilkunastu ludzi... znacie ich tak dobrze jak ja... którym jutro moglibyśmy zwalić wszystko na kark... Ale przypuśćmy, że to zrobimy! Co z tego może wyniknąć? Ludzie wpadają tam!... Dobrze! Poczynają badać i szperać wszędzie. Tacy ludzie zechcą wiedzieć gdzie też swoje pieniądze wetknęli. To co będziemy do nich przemawiać, nie wystarczy dla nich; — już to leży w ludzkiej naturze; — i we dwadzieścia cztery godziny dostrzegą że wpadli!... To nie wygląda pomyślnie ani dla mnie, ani dla nich... hm?

W przemówieniu tem nie było najmniejszego przypuszczenia uczciwości, lub prawości. Jednak nie omieszkało ono wywrzeć wrażenia na przebiegłych spekulantów. Towarzysz Pilchera, pan Wyck, słuchając tej wielkiej prawdy ukazał pewne zamięszanie, które sobie p. Dumphy zanotował.

— Nie — ciągnął dalej ten ostatni — oto co powinniśmy zrobić: kapitał zakładowy podwoić. To nam da możność utrzymania wszystkiego w naszych rękach... a jeżeli potem historja się rozgłosi, to mamy jeszcze pół tuzina innych takich, co tajemnicy pilnować będą. Za sześć miesięcy, licząc od dziś, będziemy mogli mówić o zrealizowaniu: teraz zaś najważniejszem jest zakupno! Nie wierzycie temu? No, panie Wyck, ja kupuję wasze akcje za taką samą kwotę jaką pan wypłaciłeś za nie. No, co pan na to powiesz? Prędko!

P. Wyck, wielce zakłopotany, oświadczył zamiar zatrzymania swoich akcyj. P. Pilcher uśmiechnął się. P. Dumphy odkaszlnął i mówił dalej:

— Propozycja ta pozostaje w swej mocy dziewięćdziesiąt dni — przyjmujesz pan. Nie? No, tośmy rzecz załatwili!

I znowu się zwrócił ku swemu biurku. P. Pilcher zrozumiał napomknienie i pociągnął pana Wyck za sobą.

— Djabelnie przebiegły człowiek ten Dumphy! myślał Pilcher gdy szli ku drzwiom.

— Zacny człowiek, na Jehowę! myślał Wyck.

Jak tylko wyszli p. Dumphy zadzwonił.

— Poprosić pana Jaynes, powiedział, by natychmiast przyszedł tu do mnie! Zaraz! biegnij!

Komisant zniknął. Po kilku minutach wszedł do gabinetu, p. Jaynes, makler poważny, chociaż bardzo młodo wyglądający.

— Pan Wyck będzie chciał wykupić akcje, które dziś rano wręczył panu dla sprzedaży, rzekł do niego p. Dumphy. Chciałem tylko zrobić panu uwagę, że teraz podskoczyły one o pięćdziesiąt!

Poważny młodzieniec zaśmiał się, dając do zrozumienia, że wie o co idzie i znikł.

Już koło południa tego samego dnia powtarzano sobie poufnie, iż pomimo pogłosek o niepomyślnych wiadomościach z kopalni Conroy, jeden z akcjonarjuszów największy udział mających, sprzedane przedtem akcje, odkupił z naddatkiem pięćdziesięciu dolarów na sztuce. Więcej nawet! utrzymywano, że p. Dumphy, dowiedziaw-

szy się o tym pomyślnym wypadku, skupował potajemnie. I pomimo upału przez kilka godzin panował ruch bardzo ożywiony.

Być może, iż wskutek wynikłego stąd przyjemnego usposobienia, a może wskutek szczególnego stanu powietrza, p. Dumphy otrząsnął z siebie biurowe kłopoty i oddał się wypoczynkowi bez uwzględnienia wizytowej karty pewnego pułkownika Starbottle, który upraszał o posłuchanie. O wpół do trzeciej siedział on w towarzystwie kilku dam i mężczyzn w powozie zaprzężonym we dwa ogniste rumaki i przez rozpalone piaszczyste wzgórza toczył się ku Oceanowi spokojnemu, nieruchomo prawie zalegającemu widnokręg. Gdy wykwintny powóz przejeżdżał przez Bush-Street nie jeden rzucał na niego wzrok zachwytu i zazdrości. Być może, iż był tego powodem, widok dwóch pięknych kobiet między siedzącymi, a być może iż wrażenie to wywoływała okoliczność, że w świetnym i zręcznym powożącym każdy poznał pana Rolingstone, poważnego finansistę i współzawodnika pana Dumphy. Pan Rollingstone bowiem stał się znakomitością, dzięki swym wspaniałym i wykwintnym wystąpieniom, jakoteż pewnemu bardzo wybitnemu zamiłowaniu w najdziwaczniejszych wybrykach i amfitryońskiej gościnności, co w tak wysokim stopniu wzbudzało zazdrość pana Dumphy, że czasami wysilał się na próby naśladowania, które wszakże zawsze bardzo nędznie wypadały. I dzisiejsza wycieczka była jednem z takich sławnych *fêtes champêtres* pana Rolingstona, a towarzystwo w niej reprezentowane, stanowiące élite San-Francisco, na ten raz miało wiele interesu i wartości z powodu obecności pewnego entuzjastycznego turysty ze Wschodu.

Droga szła przez lotny piasek wydm, teraz nieruchomych i połyskujących tylko ostrem białem światłem pod kalifornijskiem niebem, zlagodzonem nieco niebieskawą zatoką i nadbrzeżnemi domami, rozproszonemi jak muszle wyrzucone mocnym przypływem morza. Dalej droga wiła się u stóp wysokiego samotnego wzgórza, z wystającemi w górę grobowcami zacnych pionierów, którzy zamiłowanie swe w „najzdrowszym w świecie klimacie“ życiem przypłacili. Tu i ówdzie groby te schodziły aż do stóp wzgórza, gdzie na pół piaskiem przysypane szkielety były nawet widzialne z szerokich murów przedmiejskich pawilionów, gdzie żywi mieszkańcy jedli pili i weselili się. A dalej znowu ciągnęło się wiecznie szare morze, a na jego wybrzeżu, na skale wznosił się piękny dom letni, zbudowany przez pewnego przedsiębiorczego restauratora — cel wszystkich wycieczek mieszczan.

Tu zatrzymał się Rollingstone, zeskoczył z kozła i wprowadził towarzystwo do wesołego jasnego pokoju o oknach wychodzących na morze. Kilku innych gości, którzy tu jak się zdawało czekali, starało się łagodzić swą niecierpliwość przypatrywaniem się podskokom ryb morskich. W środku pokoju stół z ogromnemi owocami i olbrzymim bukietem róż, zapowiadał mającą nastąpić ucztę.

—Otóż przyjechaliśmy! — rzekł p. Dumphy, niespokojnie chodząc po pokoju — i to prędko— dodał spoglądając na zegarek, — we trzydzieści minut!... jak się to panu podoba? co?

Uderzył po ramieniu parę razy najbliżej stojącego, który w wysokim stopniu zbudowany taką poufałością człowieka wartającego pięć do sześciu miljonów, nie omieszkał rozszerzyć się nad nieocenionemi korzyściami szybkiej jazdy podczas takiego upału.

— Państwo — zaczął Rollingstone oglądając się dokoła — państwo wszyscy się znają, albo, jak się spodziewam wkrótce poznajomią się. Pan Dumphy, pan Poinsett, pan Pilcher, pan Dyce, pan Wych, pani Sepulvida i panna Rosey Ringround, moi panowie! Pan i pani Raynor z Bostonu. Tak! jesteśmy wszyscy! Obiad gotów. Niech każdy zajmuje miejsce i bierzmy się do rzeczy. Żadnych afektacyj, panowie! Jesteśmy w Kalifornji.

To usunięcie wszelkiej ceremonjalności mogło niezaprzeczenie być korzystnem pod niejednym względem. Goście usiedli jak im się podobało i tym sposobem Artur Poinsett znalazł się obok pani Sepulvida, podczas gdy p. Dumphy po prawej swej stronie miał pannę Ringround, przyjemną, ale jak chłopiec wyglądającą blondynkę, swobodną w rozmowie i bardzo wykwintną w ubraniu.

Objad był przepyszny i kosztowny. Zwierzyny mnóstwo tłustej i niesmacznej. Owoce były znakomite, brzoskwinie cudnej barwy i mięsiste, gruszki ogromne i soczyste, truskawki olbrzymie, a jednak nie dojrzałe, wyraźnie tak jak gdyby ktoś im przeszkodził w zapędzie zostania ananasami; wyjąwszy winogrona, inne owoce przedstawiały sobą uznanie silnego wyrażenia się pana Dumphy pod względem kaliforniejskiej natury.

Towarzystwo czuło się bardzo usposobionem do potakiwania przesadnym pochwałom pana Raynor, turysty.

— Zdumiewające! zdumiewające! — wołał ten gentleman - gdybym tego nie widział, nigdybym nie uwierzył. Ta gruszka warta naszych cztery!

— Innych u nas nie bywa—odrzekł p. Dumphy, jakby własną swą osobą odpowiadał za niezwykłą wielkość gruszki.

Ale nagle utknął, gdyż spotkał się ze wzrokiem Artura Poinsett. Zwykle p. Dumphy jadał mało na liczniejszych objadach, ale teraz właśnie zajęty był obrobieniem udka cietrzewia, a w sposobie jakim pracował nad nim zębami, było tyle szczególnego i charakterystycznego, iż Artur nagle przypomniawszy coś sobie, spojrzał mu w oczy. Dumphy odłożył na bok udko, a Artur zwrócił się do pani Sepulvida, tak jak gdyby rozmowie ich nic nie przeszkodziło. Pani Sepulvida była kobietą ponętną, ale nie bardzo logiczną, więc łatwo było Poinsettowi pochwycić przerwaną nić rozmowy, prowadzonej oczyma i ustami.

— Natura, rzekł Poinsett, ażeby być konsekwentną, powinnaby była osiedlić tu plemię olbrzymów. Sądzę, dodał cichszym nieco głosem, że zmarły don Jose nie był człowiekiem szczególnie olbrzymim i silnym.

— Jakim był, takim był, szepnęła pani Sepulvida, ale zawsze bardzo dobrą miał o mnie opinję.

P. Poinsett pospieszył zauważyć, że jeżeli podobna opinja może przedłużyć człowieka o jeden łokieć, to i on stać się może olbrzymem. Tu przerwała mu panna Rosney.

— Co to za gadanie o długich mężczyznach? Co o tem mówić? Są oni tak jak silne drzewa; takich nie masz na wybrzeżu. Trzeba iść w góry jeżeli chcecie znaleźć Goliata.

Ośmielona widoczną uwagą sąsiadów, jakoteż przychylnem spojrzeniem Artura Poinsett, ciągnęła dalej:

— Widziałam człowieka przedhistorycznego!.. olbrzyma przedpotopowego! Jest on wysoki na siedm stóp, silny jest jak lew, a barki ma jak najtęższy bokser. Lewą ręką zadaje potężne ciosy. Ma niebieskie oczy, łagodne jak u foki (psa morskiego), włosy jak Samson nim mu je znana kobieta ucięła. Mężny jest jak lew, a potulny jak baranek. Rumiany jak panna, albo przynajmniej jak panna być powinna; sama chciałabym tak wyglądać!

Naturalnie, że wszyscy śmieli się; była to danina, którą zawsze opłacano przemówienia panny Rosney. Mężczyźni śmieli się otwarcie i serdecznie, damy może z pewnem powątpiewaniem i skromnie. Pani Sepulvida śledząc wesoło połyskujące oczy Artura, zapytała uprzejmie panny Rosey gdzie widziała taki fenomen.

— O! nie miałam żadnego celu, moja droga, żadnego celu. On jest żonaty. Takie fenomeny zwykle prędko włażą pod czepek. Nie, nie w cyrku go widziałam, panie Dumphy, ani w żadnej menażerji, panie Dyce — ale... w szkole dziewcząt.

Każden zdumiał się, niektórzy się uśmiechnęli, jak gdyby to było przygotowaniem do jakiegoś konceptu, panny Rosey.

— Odwidzalam jedną szkolną przyjaciółkę na pensji pani Eclair w Sacramento. On przywoził małą swoją siostrę do instytutu, tak mi powiedział. Odtąd kocham literę G. gdyż ma imię Gabryel i mieszka w pewnem Gulchu.

— Nasz przyjaciel, techniczny kierownik! czy być może? zawołał Dyce, spoglądając na Dumphy'ego.

— Tak; ale też nie tak znowu bardzo łagodny, dodał Pilcher... co, Dyce?

Mężczyzni zaśmieli się; damy poważnie spojrzały po sobie, a potem na pannę Ringround. Ale nieustraszona młoda dama nie dała się tak łatwo zbić z tropu.

— Co macie przeciw memu olbrzymowi? Mówcie! zawołała.

— O, nie, odrzekł p. Pilcher, tylko że ten pani łagodny, skromny i prostoduszny przyjaciel zrobił taką sprytną sztukę, jaka nigdy może nie była wypłataną na ulicy Montgomery.

— A! toż powiedz pan! — rzekła panna Rosey.

— Czy mam mówić? — Przytem p. Pilcher pytająco spojrzał na p. Dumhy.

Dumphy uśmiechnął się i rzekł:

— Mów pan.

Upoważniony w ten sposób począł p. Pilcher tonem przyjemnego opowiadacza:

— Słodki i niewinny przyjaciel naszej panny Rosey, moje panie i panowie, jest technicznym kierownikiem i współwłaścicielem pewnej cennej kopalni srebra, w której także Dumphy ma znaczny udział. Zamierzając wynieść się z kraju, pilno mu było pozbyć się korzystnie swych akcyj i przed czternastu dniami zrobił z naszym przyjacielem panem Dyce układ o sto akcyj po tysiąc dolarów za sztukę i z warunkiem, że akcje pomienione mają być doręczone w pewnym oznaczonym dniu. Zamiast akcyj w dniu tym przychodzi z Conroy list... szczególna bazgranina... prosty, nieortograficzny, w którym donosi, że wskutek rozczarowania, jakie w ostatnich czasach nastąpiło co do rozciągłości i wydajności kopalni, nie jest usposobiony do poczytywania pana Dyce jako związanego umową, lecz zwalnia go od niej. Owoż Dyce, który też same akcje puścił już z pewnym proficikiem, wpada do wekslarza Dumphego i znajduje dwieście akcyj po 1.200 dolarów. Zwie-

trzywszy na co się zanosi, pisze do Gabryela, iż zmusi go do wykonania umowy i wydania akcyj, prezentuje takowe w swoim czasie i trzyma wraz dwomaset innemi w oczekiwaniu podwyżki do 1.200 dolarów. Ale podwyżka nie przychodzi i nie nadejdzie, gdyż cała historja sprzedaży była tylko manewrem tego Gabryela, jak to wam może opowiedzieć Dumphy. To mi prostota! to niewinność! Na tej operacji zyskał sto tysięcy dolarów.

Z całego towarzystwa nikt serdeczniej nie uśmiał się z tego nad Artura Poinsett. Nie zdając sobie jasno sprawy z tego uczucia, umysł jego doznał znacznej ulgi wskutek tego wymownego dowodu przebiegłości Gabryela. I gdy pani Sepulvida dotknęła lekko jego łokcia i zapytała czy nie jest to skwatter, będący w posiadaniu fałszywej koncesji, nie mógł Artur nie potwierdzić tego, nie poczuwając się by popełniał coś szczególnie złego.

— Mam tu ten list, ciągnął p. Pilcher dalej, wydobywając z kieszeni papier. Jest to rzadkość w swoim rodzaju. Jeżeli chcesz pani mieć oryginalny dowód sumienności swego przyjaciela, to oto on jest, dodał żwracając się do panny Ringround.

Panna Rosey z wyzywającym ruchem pochwyciła za papier i rozłożyła go, podczas gdy inni grupowali się koło niej, a p. Dumphy skorzystał z tej sposobności by poufale oprzeć się na poręczy jej krzesła. List był pisany szkaradnemi kulasami i dosłownie zawierało się w nim co następuje:

„One horse gulch. Dnia 10. sierpnia.

„Szanowny panie! Zważywszy, że nie poszczęściło się nam w kopalni, piszę do pana tych parę słów, spodziewając się znajdą one u pana uznanie. Muszę wyznać, że omyliliśmy się co do kopalni; nie jest ona tem czego spodziewaliśmy się i dla tego piszę tych parę słów. Teraz zapewne spodziewasz się pan, że będę trzymać się naszej umowy i odstąpię mu sto akcyj po tysiąc dolarów. Nie są one warte po tysiąc dolarów za sztukę. Nie panie, nie są warte; dla tego też piszę tych parę słów, bo nie byłoby uczciwem z mojej strony brać od pana te pieniądze. Robię to dlatego by pana zwolnić, panie Dyce, i sądzę, że pan nie będziesz gniewać się o to, gdyż nie powinienem sprzedawać, ponieważ rzeczy tak źle stoją, że niebyłoby to uczciwem, a zatem umowę naszą zdarłem. Jak na ten raz to nie mam nic więcej do powiedzenia

pozostając z szacunkiem

G. Conroy.

P. S. Być może, iż przypominasz pan sobie com mu mówił o mojej siostrze, która od roku 1849 przepadła bez wieści. Gdybyś pan napotkał jaki ślad jej gdy odjadę, to proszę przysłać mi takową pod adresem: Wells Farko i komp. Nowy York, City, co mi wielką przyjemność zrobi i za którą z pewnością zapłacę panu.

G. C."

— Wiele mię to nie obchodzi co państwo o tem powiecie, ale zawsze jest to list uczciwy, — rzekła panna Rosey z pewną stanowczością, którą przyjaciele jej po raz pierwszy w niej zauważyli,— jestto list prosty i uczciwy.

Nikt nic nie powiedział; mężczyźni, z wyjątkiem Poinsetta, uśmiechnęli się z uznaniem i rycerską tolerancją. Śmiechowi pana Dumphy towarzyszyło właściwe mu beczenie. Przy wzmiance o siostrze autora listu, pani Sepulwida ruszyła pięknemi ramionami i z powątpiewaniem spojrzała na Poinsetta; wszakże, ku wielkiemu jej zdumieniu, Artur pochylił się nad stołem wziął list przebiegł go wzrokiem, a potem powiedział tonem stanowczym:

— Masz pani słuszność, pano Rosey; list jest uczciwy i szlachetny.

Charakteryzowało to niestałość Poinsetta, że ostatnie to oświadczenie jego było tak szczere jak poprzednie zgodzenie się na ogólne podejrzenie. Jak tylko wziął list do rąk, natychmiat odkrył prawość tego kto go napisał i uznał w nim również bezzwłocznie uczciwość i prostą naturę człowieka niegdyś mu znanego. Był to Gabryel Conroy z duszą i ciałem. Więcej jeszcze! szczególne przypomniecie Gracyi opanowało go wobec tej otwartej prostoty brata, który widocznie nigdy nie zapomniał o siostrze. Że wszystko to dawało się połączyć z faktem ożenienia się Gabryela z kobietą wydającą się za jego siostrę, łatwo Artur zrozumiał. Na spojrzenie pani Sepulvida nie odpowiedział, a tylko w poważnem nastrojeniu podszedł ku oknu i począł patrzeć na morze.

P. Dumphy, który w uwadze Poinsetta upatrywał tylko chęć przypodobania się pannie Rosey, szybko zwrócił się ku niej i rzekł:

— Quien sabe? bardzo być może, że pani masz słuszność; Joe, podaj tu szampana.

Dyce i Pilcher spojrzeli pytająco na swego przywódcę, który znowu spoglądał na siedzącego naprzeciw z otwartemi ustami pana Raynor, nieskończenie zdumionego nagłą zmianą opinji publicznej.

— Ależ powiedźcie państwo, zawołał ten gentleman jeżeli ten list jest uczciwy i szczery, to ci przyjaciele panów, ci panowie — stracili stotysięcy dolarów! Zrozumijcież to państwo? Jeżeli wiadomość ta jest prawdziwą, i jeżeli to co pisze ten pan okaże się rzeczywistem, to w samej rzeczy wartość akcyj..

Przerwał mu śmiech panów Dyce i Pilcher.

— Tak jest. To też Dycemu skóra djabelnie świerzbi! rzekł ten ostatni, w żartach, — a ponieważ ja prawie dwa razy tak w tej sprawie ugrzązłem, to sądzę, że będę musiał przyjąć żart tak jak i on.

— Ależ, ciągnął dalej zmistyfikowany pan Raynor, czy w samej rzeczy chcecie panowie powiedzieć tem, że wierzycie w prawdziwość tej wiadomości.

— Tak jest, odrzekł Pilcher obojętnie.

— Tak jest, powtórzył podobnym że tonem Dyce.

— Wierzycie temu?

— Wierzymy.

Turysta spoglądał zdumieniem to na jednego, to na drugiego, a potem zwrócił się do swej żony. Czy słyszała? Czy pojęła należycie, że są tu ludzie, którzy faktycznie mającą nastąpić stratę około ćwierci miljona dolarów przyjmują tak spokojnie i tak obojętnie o niej mówią jak gdyby to była marka pocztowa. Jaka szczytna zimna krew! jaki pyszny indyferentyzm! Jak wysokie zaufanie we własnych środkach!

— Tak, moi panowie, ciągnął Pilcher dalej, to podstęp wojenny. Jednemu zdarza się to dziś, drugiemu jutro. Niemamy czasu do tracenia na narzekaniu i gryzieniu się w tym klimacie. Każdego dnia człowiek jest jak nowonarodzony. Ciągle naprzód!... i podajcie tu wina!

Co się stało?... Pozornie nic — tylko zabręczały okna i zadrżały szklanki, wskutek przejazdu ciężkiego powozu, albo biegania dzieci pod werandą. Dlaczego jednak wszyscy ze zmienionemi twarzami, w których można było wyczytać najgorsze, nagle zerwali się jednakowym popędem powodowani? To były pytania, które szybko jak błyskawica nasunęły się panu i pani Raynor, którzy chociaż nie pojmowali zagrażającego im niebezpieczeństwa, doznali jednak nieokreślonego zdumienia na widok strachu jaki wystąpił na twarze tych zadowolonych z siebie ludzi, którzy niedalej jak przed chwilą wydawali się wcieleniem pewności siebie.

I dlaczego inni goście pospiesznie rzucili się ku oknu, a ani jedna dama nie zemdlała? Artur pierwszy przemówił.

— Szło ze Wschodu na zachód, rzekł zimno, chociaż czuł sam w tem przesadę, i z uśmiechem, którym brakło wesołości, — sądzę że już przeminęło.

Potem zwrócił się do pani Sepulvida, która widocznie pobladła i dodał:

— Przecież nie przestraszyła się pani. Niezawodnie, że dla niej niemasz w tem nic nowego. Pozwól pani podać sobie szklankę wina.

Pani Sepulwida wzięła szklankę ze słabym spazmatycznym uśmiechem. Pani Raynor, która teraz uczuła, że jest jej cokolwiek niedobrze, niemiała nic do zarzucenia takiej samej grzeczności; drżała gdy podawała wino. Pan Dumphy powrócił odedrzwi, przy których znalazł się ku zdumieniu wszystkich i swemu własnemu i zajął swe miejsce przy pannie Rosey. Młoda ta kobieta pierwsza odzyskała niewymuszoną wesołość.

— Była to kara boża na pana, za to pogardzanie najszczytniejszemi dziełami natury, rzekła, grożąc palcem kapitaliście.

Pan Rollingstone, który powrócił do swego miejsca przy stole, uśmiechał się.

— Ale co to było? zapytał p. Rayner, któremu nakoniec także przyszedł do siebie.

— Było to trzęsienie ziemi, odrzekł spokojnie Artur. (C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

Tomasza Anquetil.

Druga serja.

(Ciąg dalszy.)

Ciekawy byłem doprawdy, zkąd mój murzyn doszedł do wiadomości tego sposobu polowania; pociągnięty za język wyspowiadał się z sekretu. Dzieckiem jeszcze widział ojca swego, jak tą sztuką brał ptactwo; później wyszło mu to z pamięci, dopiero wczoraj ujrzawszy w jednym z budynków folwarcznych stos tykwi, przyczem i podrażniony żartami, jakich mu nie szczędziliśmy za jego niezgrabność w użyciu kormorana, powziął myśl okazania co umie.

Księżyc w czasie tym wychylił swoje promieniste oblicze i pełnią światła oblał krajobraz, przyćmiwszy kopcący blask naszych latarni. Towarzystwo podzieliło się na grupy, koło mojej żony siadły młode dziewczęta, do nich przyłączył się asesor; w tyle łodzi Shabunder rozmawiał ze swoją żoną. W pośrodku pomiędzy niemi stanąłem na chwilę opodal, wpatrując się w perspektywę monotonną przedłużających się kanałów, i mimochodem łowiłem urywki rozmowy, dolatujące mię z dwóch stron. Asesor nie żartem umizgał się do starszej panny, moja żona ułatwiała

im rozmowę, gdy tymczasem małżonkowie, nie przypisując mi tak dobrego słuchu, zamieniali swoje myśli w poufnem zwierzaniu.

— Moje kochanie, źleś zrobiła okazując taką niewczesną trwogę. Trzeba umieć panować nad sobą, zwłaszcza przy cudzoziemcach.

— Zapewne przyznaję winę, powinnam była przytłumić wrażliwość moją. Ależ kochany przyjacielu, nie postąpiłżeś względem nich trochę nieostrożnie? Osądź, jak smutnem by było, gdyby jaki wypadek zdarzył się temu Francuzowi, albo siostrzeńcowi gubernatora...

— W rzeczy samej stwarzasz sobie urojne obawy. Czyż nie zachowuję wszystkich możliwych ostrożności? Za nim wyruszamy wysełam naprzód przejrzeć strony, w które się udajemy. Jutro i pojutrze będziemy polować, kazałem naszych najodważniejszych i najsilniejszych ludzi trzymać w pogotowiu.

— Ah wiem, znam twoją zapobiegliwość... przebacz mej przedwczesnej trwożliwości,

— Czyż jest potrzeba przebaczenia!

— Dziękuję ci mój panie, — ale prawda — czy nie masz relacji o słoniach, które uciekły?

— O trębaczu nie, co do drugiego mówiono mi. że na ślad jego natrafili.

— Jeśli spotkacie Czarno dużego nie zabijajcie go!

— Litość byłaby w tym wypadku może nierozsądną, i powrót jego niewątpliwie zamąci porządek naszego stada...

— A jednak ja za nim proszę. Gdy go złapiecie, można go sprzedać.

— Niech i tak będzie — chociaż nie mogę za niego odpowiadać, nuż się stawiać będzie ostro, pojmiesz... — w tem miejscu Shabunder urwał, i rzuciwszy spojrzenie na drugą grupę, dodał ciszej

— Widzisz duszko, jak asesor przyjaźnie rozmawia z naszą starszą.

— Miejmy nadzieję, że nasze marzenia się spełnią, — odparła mu żona.

Dopłynęliśmy do przystani. Rozmowa urwała się i wszyscy razem udaliśmy się na herbatę. Około północy przed rozejściem gospodarz zwrócił się do nas.

— Moi panowie! starajcie się wypocząć należycie. Jutro czeka nas mozolny dzień... przygotujcie sobie najlepszą broń, amunicje i tęgie obuwie. Jeżeli wam to dogodnem będzie, wyruszymy ztąd rano korzystając z odpływu morza.

Nazajutrz o rannej bardzo godzinie stanęliśmy zebrani i należycie uzbrojeni w sali jadalnej. Doskonałe śniadanie pokrzepiło nasze siły, poczem zeszliśmy na brzeg kanału, gdzie dwie łodzie czekały nas w pogotowiu. Jedna była taż sama co zwykle służyła nam w wycieczkach, druga naładowana przeróżnemi narzędziami, powrozami z lian, przyrządami z żelaza i stali, latarniami z malowanej blachy, zaopatrzona w drabinki bambusowe, dyle, belki, worki, puste paczki i kosze, ciągnęła w dodatku dwie próżne tratwy średniej wielkości przyczepione z tyłu.

Z głównego kanału wypłynęliśmy na ramię prowadzące do Irawady, i w tym kierunku trzymając się prawego brzegu, w niespełna pół godziny znaleźliśmy się w miejscu zejścia dwóch rzek, gdzie Peah-me-lah zlewała się z Irawadi; byliśmy zatem na wybrzeżu morskiem. Ze wschodniej strony brzegi płaskie leżały piaszczystym łonem aż po rzekę Rangun, z zachodu o parę kilometrów od ujścia występował urwisty szczyt, po za którym ciągnęły się długą linją skały i rozpadliny. Pośród nich wystający szkopuł ukrywał całą gromadę dzikich gołębi, zaś brzegi urwiste, zamieszkane były przez kolonje salanganów, gatunek jaskółek, których gniazda są wielce cenione na Wschodzie, a mianowicie przez Chińczyków, naród smakoszów jakich mało. Cały ten łańcuch urwisk wchodził w zakres koncesyj udzielonych Shabunderowi, tylko, że był jeszcze wolny od taksy, jako wyniszczony w pierwszych latach okupacji angielskiej.

Z wielkiemi ostrożnościami, żeby nie rozbić naszych łodzi, dopłynęliśmy pod skały. Kilku marynarzy weszło w wodę, ułożyli pomost z belek i dostaliśmy się na urwistą ławicę, zatrzymując się tamże na chwilkę: Shabunder chciał osobiście doglądać dalszych przygotowań.

Dwunastu tęgich chłopców zaopatrzonych w latarnie, powrozy, haki i drabinki bambusowe przyłączyło się do nas, gdy w tym czasie druga łódź w przeciwnym, końcu brzegu, wyładować miała dwudziestu ludzi z potrzebnym materjałem. Reszta zaś marynarzy pozostawała na straży naszych szalup i palnej broni, której nie dozwolono nam zabrać! Byliśmy jedynie opatrzeni w noże myśliwskie lub sztylety, każda inna broń byłaby nam tamowała ruchy, a nawet czyniła niebezpiecznem drapanie się w górę.

Zadanie nasze było nie małej wagi, biorąc w uwagę chaotyczne nagromadzenie skał zjednoczonych u podnóża, ale zachowujących u szczytu najkapryśniejsze rozdarcia i kontury. Wypukłe głazy ścięte w pochyłe ściany rozpadały się głębokiemi rysami lub sterczały spiczastym kantem. Nieforemne gradusy, podarte przepaściami kończyły się ostrym cyplem. Sam szczyt odznaczał się najdziwaczniejszemi linjami dzikich kształtów, a w jego wnętrzu był dopiero cel naszej wyprawy — grota wyniosła o trzydzieści metrów ponad powierzchnię morza.

Przewodnicy nasi niepospolitej zręczności, z doświadczeniem nabytem w tego rodzaju przedwzięciach i dokładnie obznajomieni z miejscowością, zwijali się w robocie doglądani okiem samego pana, Angielscy marynarze chcieli początkowo iść z nimi w zawody, ale obuci z europejska przekonali się niebawem o bezowocności swoich usiłowań, i by im dorównać musieli drapać się boso. Trzeba było zarzucić drabinki bambusowe, z belek ustawić platformy powiązane sznurami, i gdy już stanęło silne rusztowanie umocowane do skały, i wysokość stopni była dostateczna, jeden z marynarzy wszedł do groty zamieszkałej przez gołębie, i z tamtąd krzyknął trzykrotnie na znak, że możemy iść za nim. Shabunder pierwszy wstąpił odważnie bez wahania — czego się po nim rzeczywiście nie spodziewałem, asesor nie dał się długo zapraszać, moi dwaj chłopcy jak koty drapali się po skałach — aż na mnie przyszła kolej. Przyznam się, żem o mało nie stracił ochoty do tej wycieczki. Jak mi przyszło stąpać po chwiejących belkach, gdym uczuł w powietrzu bujające drabinki, mrowie mię przechodziło; a kiedy w końcu u szczytu zmierzyłem okiem ziejące przepaście, po nad któremi wisiałem zamknąłem oczy; chwila jeszcze, a byłbym uległ zawrotowi głowy.

W czasie naszego opanowywania groty, co zawsze trwało dość długo, ponieważ każdy z osobna musiał się drapać, z obawy by powiązania się nie rozwiodły, mogłem zauważać, w jak wysokim stopniu uczucie łączności familijnej rozwinięte jest u dzikich gołębi. Żaden z ptaków przez czas trwania naszych przygotowań nie opuścił swego mieszkania, a nawet wielu z tych co wyleciały na żer, powracały, pomimo żeśmy zajęli ich schronienie nie starały się ujść niebezpieczeństwu, owszem same leciały na zgubę. Był gatunek należący wyłącznie do tych okolic, z potężnym dziobem, wysoki i gruby. One nigdy nie emigrują, rzadko bardzo przesiadują po gałęziach, ulubionem ich schronieniem są brzegi rzek i morza. Żywią się po trosze wszystkiem, bardzo silne, zdolne bronić się energicznie od pomniejszych zwierzątek drapieżnych, a często nawet szybkością lotu uchodzą pogoni wielkich ptaków.

Grota w której znaleźliśmy się, podobną była do wszystkich tego rodzaju formacyj, wyszłych ze wzburzeń geologicznych, i powiększonych wodą z deszczów, która wchodząc w związek z solnemi wyziewami morza, podmulała żyły i pokłady wapienne. Bo nie inaczej wypada nam tłomaczyć sobie powstanie tych jam, schronienie tylu gatunków ptactwa i ich rodzin. Pierwotnie robią się wklęsłości, kąty wystające, lub wpadnięte, wydrążenia, korytarze; następnie stalaktyty skrystalizowane zwieszają się u stropów, a stalagmity, zsiadłość kamienna, tworzą wypukłości podnóża. Grota nasza była dość obszerna, zwiększona jeszcze kilkoma zagłębieniami, które jakby dalsze stanowiły pokoje. Ziemia zasłana była nieczystościami, resztkami jadła i zgniłemi szczątkami. Ściany oblepione od dołu do góry niezliczoną ilością gniazd, czyniły powietrze nieznośnem. Gdyśmy już wszyscy zebrali się w środku, spuszczono sznury, po których wciągnięto podawane nam przez ludzi rozstawionych na rusztowaniu latarnie, worki, kosze i wiązkę lasek rotangu, trzciny indyjskiej. Wówczas dopiero rozciągnięto nad otworem groty płótno i zapalono latarnie.

Zaledwie światło w odbiciu od stalaktytów rozwidniło przestrzeń strumieniami jasności, przerażone gołębie zerwały się i w rozpaczliwym szale uganiały w pełnym locie, rozbijając się w różnych kierunkach. Z tej chwili skorzystano do przetrząsania gniazd. Młode gołębie niezdatne do jedzenia były oszczędzane, większym skręcano łby, samce i samice, które broniły swego potomstwa, ginęły pod uderzeniami rotangu. W niespełna pół godziny złaziliśmy po nadpowietrznem rusztowaniu, obładowani dwoma koszami jaj i sześcioma workami gołębi. Część służby zajęła się niebawem rozbieraniem przyrządów niepotrzebnych, a my ruszyliśmy na dalsze poszukiwania.

Przez ten czas drugi oddział marynarzy, któremu polecono wykonanie przygotowań do brania gniazd jaskółczych, okolił skalisty brzeg morza i dostawszy się na platformę zniósł się z wioślarzami pozostałymi przy łodziach. Po zbadaniu przez tych ostatnich gruntu w miejscu najprzystępniejszem, u podnóża skał, wzięto się wpierw wbijać dyle, do nich poprzecznie przymocowane belki sformowały kształt potrójnych sztalug. Za pomocą liny spuszczono aż do ziemi trzy drabinki bambusowe, złączone szeregiem nadsztukowań, poczem ludzie u dołu z pomocą w poprzek silnie umocowanych rotangów zrównali przedziały, i w ten sposób zrobiony przyrząd przedstawiał pewną siłę, i nie trwożył kołysaniem w powietrzu.

Wszystko czekało w pogotowiu, gdyśmy dopłynęli do stóp wybrzeża. Jak u tamtej przystani rafy i szkopuły, o które rozbijały się bałwany, tworzyły podnóże, nad którem skały piętrzyły się podpierając grotę, więcej jeszcze wyniesion[illegible] niżli poprzednia. Wewnętrzny rozkład był praw[illegible] tenże sam, gniazda małe, popielatawe, przetykane włó-

knami koloru niezdecydowanego, zakrywały ściany, a w niektórych miejscach, w braku przestrzeni, piętrzyły się jedne ponad drugiemi. Gruby pokład odchodów zmięszanych z wyrostami wodnemi i morskiemi roślinami, zaścielał ziemię. Wypłoszone naszem zjawieniem się salangany opuszczały tłumnie schronienie, pozostawiając naszej dobrej woli gniazda, jaja i młode pokolenie. Nie przeciwko tym ostatnim były jednak skierowane zbrodnicze nasze zamiary, to też uszły groźnej ręki naszych ludzi. Napełniwszy dziesięć worków gniazdami jaskółczemi, zabraliśmy się do odwrotu.

Gniazda jaskółcze dobrze oczyszczone, wypłukane, osuszone i zakonserwowane, płacą się bajeczną ceną 60 do 150 franków za kilogram. Chociaż na Wschodzie a przedewszystkiem w Chinach, przypisują im smak wyborny, Europejczycy prawie powszechnie są innego w tym względzie zdania. Potrawa ta zupełnie nieprzypada do gustu naszego podniebienia, zresztą jej właściwą zaletę stanowią części składowe rozpalające, i nie tyle smak wybredny ile lubieżność konsumentów sprawiła, iż ten tak rzadki i z takim mozołem osiągany produkt uzyskał szaloną swoją reputację.

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

III.

Miasteczko nasze przybrało w tym tygodniu odmienną nieco fizjonomnię. Jakkolwiek pyszni się już cyfrą 100.000 mieszkańców, która jest dla miasta jak gdyby dojściem do pełnoletności — jednak znamy się tu wszyscy bardzo dobrze, a każdy większy napływ gości z prowincji daje się spostrzegać pojawianiem się nowych nieznajomych postaci, zwiększonym znacznie ruchem. Zjazd Towarzystwa kredytowego ziemskiego tudzież walne zgromadzenie Towarzystwa rolniczego sprowadziły do Lwowa liczny bardzo zastęp obywatelstwa z prowincji. Hotele przepełnione, w kawiarniach i restauracjach spotkasz się z postaciami, z których niejedna jakby żywcem z Paska wycięta. Witajcież nam goście — nie gniewajcie się zanadto na błoto i wyboje w pokrytych lodem ulicach Lwowa — radźcie skutecznie nad dobrem publicznem — a pamiętajcie, że najlepszym gościńcem jaki można rodzinie ze Lwowa przywieść, jest dobra polska książka.

* * *

(R) Po raz pierwszy od czasu istnienia autonomicznej Rady miejskiej we Lwowie, zakończono perjod wyborczy publicznem zdaniem sprawy z czynności Reprezentacji i urzędów miasta. Sprawozdanie to, rozdane członkom Rady na ostatniem jej posiedzeniu, obejmuje przeszło pięć arkuszy druku 4to, i wyszczególnia wszelkie sprawy ważniejsze przez Radę i Magistrat w ostatniem trzechleciu załatwione, i postępy jakie uczyniono we wszelkich gałęziach administracji miejskiej, ujęte — o ile się to dało uskutecznić — w cyfry statystyczne. Pozostawiając pismom politycznym ocenienie tego sprawozdania i wyprowadzenie zeń wniosków i wskazówek dla dalszej administracji miasta — podnosimy tutaj sprawozdanie to jako godny naśladowania przykład jawności w zarządzie autonomicznym. Nie możemy pominąć jednego tylko szczegółu: budżet wydatków na oświatę i szkoły, który jeszcze w r. 1873 wynosił 56 319 zł. wzrósł obecnie do kwoty 93.557 zł., preliminowanej na rok 1877 — czyli wzrósł przeszło o 66%. A dodać trzeba, że nie są tem bynajmniej objęte wydatki nadzwyczajne na budowę szkół, które wchodzą w budżet departamentu budowniczego — że zatem są to tylko wydadki bieżące na utrzymanie szkół i zasiłki dla zakładów naukowych. Piękny to dowód ofiarności stołecznej gminy na cele oświaty; lecz niech nam zarazem będzie wolno wyrazić nadzieję, że przyszła rada miejska nie uśnie na laurach swej poprzedniczki, i nie zapomni o bardzo naglących a niezaspokojonych jeszcze potrzebach miasta w kierunku szkół i oświaty.

* * *

(O.) Dr. Juljan Grabowski, docent chemji na wszechnicy lwowskiej i dotychczasowy sekretarz Towarzystwa przyrodników, w tych dniach opuścił nasze miasto, udając się na stałe pomieszkanie do Krakowa, dokąd powołany został na zarządzającego oddziałem chemicznym w przemysłowo-technicznym instytucie. Młody uczony zostawił tu jak najlepsze wspomnienie i w krótkim czasie swego pobytu we Lwowie zdołał zjednać sobie zarówno życzliwość młodzieży jak i uznanie ze strony kolegów profesorów; nie wątpimy też, że i w Krakowie jako człowiek i jako pracownik na polu naukowem, zyska równie liczne koło przyjaciół i życzliwych. I my ze swej strony posyłamy mu na tę nową a zaszczytną drogę pracy serdeczne „Szczęść Boże!“

* * *

(A.) Przypomną sobie czytelniczy konkurs, ogłoszony przed paru laty przez Wydział krajowy, na wypracowanie projektów na gmach sejmowy i Wydziału krajowego. Mieliśmy w roku zeszłym wystawę nadesłanych projektów i komisja konkursowa nagrodziła 4 z nich, według jej zdania najlepszych. Otóż Wydział polecił p. Hochbergerowi wypracować na podstawie tych projektów nagrodzonych, z których każdy obok dobrych myśli zasadniczych zawierał także części nieodpowiednie do warunków miejscowych, nowy projekt, uwzględniający wszystkie dobre strony wspomnianych czterech planów i zastosowany do naszych warunków. Pan Hochberger ukończył obecnie swą pracę i mieliśmy ją sposobność oglądać. Nie możemy się na tem miejscu wdawać w szczegółowy rozbiór, notujemy tylko, że gmach projektowany jest w stylu odrodzenia, fasada główna od ogrodu miejskiego, o narożnikach pokrytych kopułami, robi bardzo poważne i przyjemne wrażenie, rozkład bardzo jasny, foyer usunięte, a obraz Matejki *Unija* umieszczony w świetnie od frontu oświeconej sali obrad Wydziału krajowego. Sejm, który ma się zebrać we wrześniu, rozstrzygnie o przyjęciu projektu i o rozpoczęciu robót budowniczych.

* * *

(A.) Towarzystwo polskich przyrodników imienia Kopernika odbyło swe walne doroczne posiedzenie w poniedziałek dnia 19go lutego, w rocznicę urodzin wielkiego astronoma. Udział członków był bardzo liczny, sala publicznych posiedzeń na uniwersytecie była przepełniona. Ze sprawozdania rocznego widzimy, iż Towarzystwo to rozwija się znakomicie z wielkim dla kraju pożytkiem. Członków rzeczywistych jest obecnie 176, z tych 110 miejscowych a 66 zamiejscowych. Wydano 12 zeszytów organu Towarzystwa: *Kosmosu* wychodzącego pod redakcją prof. dra Radziszewskiego. Ogólny przychód w tym roku wynosił 2.206 złr., zalega u członków i za prenumeratę *Kosmosu* 457 złr. Największy dochód (971 złr.) przyniosły Towarzystwu odczyty prof. dra. Syrskiego z podróży na około ziemi.

Na temże posiedzeniu prof. Stanecki miał odczyt o *cyklonach*, owych strasznych wirach powietrznych, które tak zgubne są dla okrętów i które podnosząc falę olbrzymią wody morskiej, spędzają ją niekiedy na zaludnione wybrzeża, niszcząc wsie i miasta, przyczem w niespodzianej powodzi giną czasami setki tysięcy ludzi, jak to miało np. miejsce dnia 31go października zeszłego roku w Indjach wschodnich. Znalazło tam śmierć w falach przeszło 200.000 ludzi!

Po odczycie nastąpiły wybory nowego zarządu. Prezesem obrany został prof. B. Radziszewski, wice-prezesem prof. F. Strzelecki, a w skład zarządu weszli panowie: prof. Syrski, prof. Ciesielski, prof. Soleski i prof. Niedźwiedzki.

* * *

(S.) Ostatni koncert Wieniawskiego, jak to już poprzednio zapowiedzieliśmy, odbył się w zeszłą sobotę (tj. 17. bm.) Koncertant był mocno znużony ciągłemi podróżami, a w sam dzień wystąpienia czuł się nawet słabym. Gdyby więc chodziło o jego zysk własny, to z pewnością nie byłby wystąpił i byłby użył tego czasu na wypoczynek, tem więcej, że tuż zaraz czekała go nowa podróż, a nazajutrz zapowiedziany już od tygodnia koncert w Krakowie. Ale Wieniawski miał grać na cele dobroczynne, i oto dla czego, pomimo to wszystko, nie cofnął się wcale.

Program koncertu (inny wszakże cokolwiek niż afisz dwukrotny ogłaszał) wypadł znów bardzo świetnie; znalazły się w nim bowiem: Wielka Sonata Beethovena (dedykowana Kreutzerowi), *Airs Variés*, Henryka Vieuxtemps, *Drugi Polonez* i *Dudziarz* Mazurek, dwa utwory samegoż Wieniawskiego, a nareszcie prześliczna fantazja jego również układu, a którą nam afisz nazwał tylko „Romance de Warlamow *transcrite* par Wieniawski.“

Rozwodzić się tutaj raz jeszcze o wykonaniu tych dzieł z pewnością nie ma potrzeby, szczególniej po tem co już poprzednio o grze tego wielkiego wirtuoza mówiliśmy. Niech ci, którym wydarła żywe oklaski i brawa jedna z najklasyczniejszych i najmniej popularnie napisanych sonat Beethovena, niech ci, którzy nie mogli znaleźć granic w objawach uniesienia po odegraniu *Airs Variés* Vieutemps'a, tak, że nie mogąc dłużej utrzymać w swem ręku wieńców i bukietów już w połowie koncertu zarzucili nimi uwielbianego mistrza, niechaj ci nareszcie, w których ów niezrównany Polonez i owa końcowa fantazja wywołały uczucie najwyższego zachwytu, a nawet łzy radości i rozczulenia, wypowiedzą sami swe wrażenia, bo to dopiero będzie jedynie godne sprawozdanie o tym ostatnim koncercie.

Kiedyż znów będzie nam dano powitać tutaj i usłyszeć naszego wielkiego mistrza?!

A teraz jeszcze słów kilka. Jak wiadomo, we wszystkich czterech koncertach Wieniawskiego produkowały się także, dodatkowo, i inne osoby, a mianowicie pp. Nikisch, Marek, Köhler i kilka pań, tutejszych artystek-amatorek.

P. Nikisch jest jednym z pierwszych czy nawet pierwszym primistą skrzypkiem opery wiedeńskiej i tylko przez uwielbienie dla gry Wieniawskiego wziął na siebie rolę akompaniatora na fortepianie, jak również produkującego się w utworach fortepianowych głównie dla wypełniania pauz. To jego poświęcenie się, jak również jego nadzwyczajna skromność zjednały mu tutaj bardzo piękne uznanie. Co do dwóch drugich, tych zna już wybornie nasza publiczność oddawna. Jednakże, jeśli dla wszystkich tych panów wypadła dziwnie niewdzięczna rola produkowania się obok Wieniawskiego, to dla naszych pań amatorek było jeszcze gorzej, bo oprócz tejże samej niekorzyści, zgotowano im drugą, większą może jeszcze, przez niefortunne programy. To im kazano śpiewać solo z fortepianem wielką dramatyczną Romanzę z *Selvatora Rosy*, Gomesa, jakkolwiek to wymaga prawie koniecznie ram opery i orkiestry; to nadzyczajnie trudne mazurki Szopena i to prawie bez żadnego ściślejszego poprzedniego opracowania, którego przecież one tak gwałtownie wymagają; to znów, w podobnychże warunkach, ową tak podstępnej łatwości *Medytację* Gounoda na praeludium Bacha (przykrojoną na śpiew *Ave Maria*, ale i niezdarnie obkrojoną zarazem); to nareszcie, a co najgorzej, bo tego najwięcej, kazano im się popisywać z niemieckiemi *Lieder*, bez względu nieraz na ich stosowność dla ucha polskiego, albo nawet z ramotami tutejszej, fabrykacji a przyfastrygowanemi do niemieckich wierszy! Aż przykro było tego słuchać obok polonezów Wieniawskiego! Publiczność nasza, która jest ze słusznem uwielbieniem dla niemieckiej muzyki, obrusza się jednak ze wstrętem na takie nadużycia i przy tej okazji mnóstwo cierpkich wyrazów, ucinków, spada najniewinniej na biedne ofiary którym w tych ramotach każą się produkować; a jeśli się czasem, choć skąpo, odezwą oklaski, to każdy się zaraz zastrzega, że czyni to tylko *„przez grzeczność dla dam"*. Ze stanowiska jednak czysto przedmiotowego czujemy się w obowiązku podnieść tu bardzo przyjemne odśpiewania *Frühlingsnacht* Schumana przez panią W.; bardzo wiele dobrych stron i uczucia w głosie panny R.; bardzo wiele wdzięku, przynajmniej w ogóle w śpiewie pani T.; a wreszcie całe wyższy artystyczny zakrój i głosu i śpiewu pani M. Praun.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego

czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

Że posiadamy siły żywotne, dajemy tego wybitne dowody przez lat sto z górą; i jest rzeczą również niezbitą, że jesteśmy panami silnego i obfitego materjału do budowy przyszłości.

W ostatnim dziale mego poglądu: „co nam uczynić wypada?" pomówię obszerniej o środkach, posłużyć mogących do odrodzenia przemysłu, a teraz przejdźmy jeszcze pozostałe gałęzie, które na oko wydawać się mogą mniej wybitnemi, są jednak również ważne przy dzisiejszem życiu społeczeństwa.

Dopóką oddalała nas przestrzeń od innych krajów Zachodu, potrzeby nasze były więcej ograniczone; artykuły zbytku i fraszek wprawdzie się objawiały, ale sporadycznie, a to, co handel nasz sprowadzał, odbywało drogę na osiach, było więc jedynie monopolem zamożnego kupiectwa. Założonie handlu podlegało zupełnie innym warunkom i przedewszystkiem wymagało silnej podstawy materjalnej. Dla kogo warunki te nie były przestępne, nie mógł nawet marzyć o otworzeniu sklepu; albo też jeżeli miał wiele odwagi, musiał zostać bardzo malutkim kramarzem, lub kolporterem właściwych firm.

Takie położenie nie dawało znowu tego rodzaju adeptom przyoblekać się w blichtr stanu kupieckiego, jaki na każdym kroku dzisiaj spostrzegamy. Nie było po prostu pokusy do złego, życia nad stan i udawania pana. Długo potrzeba było składać grosz do grosza, i o ile tegoż przybywało, zyskiwało się kredytu. To też firmy takie, budowane na granitowych fundamentach, opierały się nader silnym burzom, i nie padały za lada podmuchem jak domki z kart przez dzieci stawiane.

Społeczeństwo mniej zamożne trzymało się więcej tradycyjnych zwyczajów, i nie siliło się naśladować prądu zmiennej mody. Dzisiaj inaczej, obecność przypomina przeszłość zaledwie jeszcze w jakimś mglistym zarysie.

Drogi żelazne zalewają nas powódzią przedmiotów, z których większa część przedtem zaledwie z nazwy była nam znana. Nie dziw więc, że i handel uległ zmianom. Dzisiaj przy łatwem uzyskaniu kredytu na towary, a szczególniej na takie, w których trudno dopatrzeć realnej wartości, powstają optycznie imponujące handle w takiej liczbie, jak grzyby w lesie po deszczu. Ale też i żywot ich bywa równie krótki. Bardzo często, jeżeli ktoś ma grosza na tyle aby mu wystarczyło na najęcie sklepu i złudne udekorowanie tegoż, w mgnieniu oka zapełnia go mnóstwem towarów wziętych bezwzględnie na kredyt, i bez obliczenia stosunku ilości do konsumentów. A chcąc pozyskać zaufanie, rozpoczyna karjerę od pozowania na gildzistę pierwszej klasy i stosownych do tego wydatków osobistych, przewyższających często kilkakrotnie zysk handlu. Następstwa jasne i znane.

Takie postępowanie musi się stać groźną ruiną dla kraju, znajdującego się w takich warunkach jak Galicja, gdzie bardzo mało, prawie tyle co nic produkujemy z przerobów, a tem samem znaczna część kapitału wychodzić musi z kraju bezpowrotnie. Gdybyśmy chcieli temu zaraz zapobiedz, pozostawała by nam tylko jedna droga: ograniczenie naszych nawyknień a nawet i potrzeb. Środek taki jest niemożebny.

Środki obronne są jednak niezbędne, inaczej prędzej czy później musielibyśmy dojść do bankructwa całego kraju.

Poczekajmy bezczynnie tylko chwilę jeszcze, a przekonamy się, że jak tylko na kongresie politycznym się wypogodzi i dłuższy czas zapanuje pokój, to zgubną lawiną stoczą się do nas obce żywioły, i nawet te resztki przemysłu domowego, o jakie są, pochłonie nienasycona żądza, wydarcia nam wszystkiego. Korzystajmy więc z każdej chwili, dopókąd walka łatwiejsza i jeszcze możebna.

Jak już wyżej powiedziałem, bezliczebna ilość fraszek handlowych pochłania krocie, miljony. Fraszki te jednak stały się dla nas drugą naturą, a przecież setki jest takich, które jeżeli nie lepiej, to również dobrze mogą być na miejscu wykonane.

Zacząwszy od drewnianych wykłuwadeł do zębów, aż do wyrobów z drogiego kruszcu, wszystko sprowadzamy z dala. Pytam się więc, gdzie jest konsekwencja w naszych pretensjach, jeżeli sobie z jednej strony przyznajemy dojrzałość społeczeńską w gronie cywilizacji, a z drugiej, jak tylko mowa o konieczności wyrównania warunków przemysłu, zaraz zmieniamy oblicze, i śmiemy bez zastanowienia twierdzić, że to jest niemożebne.

Przyznajemy masom narodu łatwość pojęcia, i szczególne zdolności, które nawet u obcych wzbudzają podziw, a żadna siła nie może nas wyciągnąć po za zaklęto koło, pięknie brzmiących teoryj i dobrych chęci, któremi jak mówią nawet piekło wybrukowane. Gdzież więc konsekwencja pytam jeszcze raz? Jeżeli rzeczywiście chcemy rościć sobie prawa do stanowiska ucywilizowanego narodu, to przyznajmy, że teorja jest i będzie zawsze tylko połową ciała i tylko kluczem do realnego czynu. Albo też porzućmy zgubną „blagę," i uderzając się w piersi ze skruchą, stwierdźmy, że chcemy zostać rzeczywistym „Bärenlandem."

Narzekamy na ciężkie czasy, a rozpatrzmy się, ile i za jakie sumy sprowadzają kupcy nasi zabawek dla dzieci, dla dzieci małych i dużych czyli starych? a więc mają rację bytu i wyrobu u nas.

Już dawniej znaliśmy w kraju tak zwane: „rzeszowskie złoto" czyli naśladowane bizuterje. Nabywanie tego artykułu, wyrodziło się w prawdziwą epidemję u ogółu, od pastuszki za bydłem i kuchennego kopciuszka, aż do salonowej damy pierwszej wody, każda chce błyszczeć i często za ostatni grosz kupuje pierścioneki, szpilki, kolczyki, broszki, braseletki, i wszystkie te śliczności, które mają podnieść wdzięki płci nadobnej. Tak samo od chłopaka stajennego lub pastucha, aż do salonowego pozłacanego dandysa, każdy musi błyszczeć posrebrzanym lub pozłacanym łańcuszkiem, aby chociaż tym sposobem, podniósł swą mniemaną wyższość, i zwracał na siebie uwagę odpowiedniego społeczeństwa.

Tak samo podciągnę pod rubrykę biżuterji, podobne wyroby z rogu, kauczuku, kości, szkła i innych materjałów rodzimych i sztucznych. Jakież stosy znajdujemy po sklepach wyrobów skórzanych jako to: nosigroszy, pugilaresów, notatok, torebek, pudełek, szkatułek i kufrów, które weszły w codzienne potrzeby ogółu.

Zapytajmy naszych panów aptekarzy ile rok-rocznie sprowadzają pudełek papierowych do opakowania lekarstw? Czy w Galicji chociaż jedna taka pracownia nie miałaby racji bytu? Czy się nie włóczą setki małych żebraków, dla których jałmużna, zastępuje przemysł uczciwy na całe życie?

Jeżeli ktoś powie „to są rzeczy nie możebne, nie mamy do tego odpowiednich materjałów," temu odpowiadam, że i za granicami kraju nie fabrykują się po pracowniach ręcznych materjały do wyrobu, ale często z bardzo dalekich stron i krajów się sprowadzają. A że sprowadzanie materjału jest tańsze aniżeli przerobu z tegoż, to rzecz znana i stara jak świat.

Nieszczęsny jednak nasz moralny lazaronizm nie pozwala nam pojąć tej prawdy matematycznej. Jesteśmy poprostu olbrzymami myśli, a karłami czynu.

Sztuczne kwiaty, któremi płeć nasza nadobna rownież lubi wdzięki swe potęgować, sprowadzają handle w takiej ilości, że rok rocznie, możnaby wielki łan niemi pokryć. Otóż w tej

*

gałęzi przemysłu, posiadamy nawet znakomite artystki mistrzynie.

W tych dniach, a więc już przy końcu karnawału, w którym to czasie wyrób ten najwięcej popłaca, zwidziłem we Lwowie dwie pracownie kwiatów sztucznych, pań: Antoniny Zielińskiej przy ulicy akademickiej nr. 8 i Tołoczkowej, przy ulicy Kopernika.

Obydwie te zacne Polki, rzucone po ostatniej katastrofie 1863 r. na Zachód, powróciły na ojczystą ziemię nie z próżnemi rękami, bo w stolicy uczonego świata w Paryżu, po kilkoletniej pilnej nauce, nie tylko wyrównały prawdziwym artystkom tamtejszym, ale w niektórych rodzajach sztucznych kwiatów ujęły za palmę pierwszeństwa.

Wyroby tych pań, które szczegółowo badałem, mogą wprawić niejednego w zdumienie, takie tam złudne zbliżenie do pierwotworów natury. Kwiat i liść walczą o pierwszeństwo prawdy, a co się tyczy układu, to już tylko nasze Polki mogą mieć tyle poczucia wdzięku. Z przyjemnością śledziłem cały rozkład wyrobów, zacząwszy od materjałów, części pojedyńczych, przyrządów, tłoczni, barw, aż do zupełnego ukończenia. Pracownie tych pań mogą urzeczywistnić nawet marzenia naszych najwybredniejszych elegantek.

Możnaby więc słusznie mniemać, że pod kierunkiem takich mistrzyń, jeżeli weźmiemy w rachunek potrzeby naszej płci nadobnej i ile się kwiatów sztucznych sprowadza z samego Paryża, powinne te pracownie odpowiednio kwitnąć materjalnie. Tak jednak nie jest, bo u nas w Galicji każda, nawet dodatnia strona, musi mieć swoje „schattenseity.“

Zakłady te, na tak sumiennej pracy oparte, muszą toczyć ciężką walkę, nawet o nader skromny byt. Główną zaś tego przyczyną jest ta prawda, że umiejętność, nie zawsze się rodzi wraz z kapitałem. Dalej, pomimo narzekań, że kobieta u nas nie ma odpowiedniego pola do pracy, panuje u płci nadobnej wielki wstręt, do gruntownego wyuczenia się czegośkolwiek. Są porywy, ale tylko chwilowe, trzy, dwa, a nawet jeden rok tylko nauki, rzuca taki postrach, że cały zapał do emancypacji opartej na pracy, stygnie jak pod wpływem zimnego tuszu.

Z tej przyczyny, pomimo najszczerszych chęci, pracownie nie mogą rozwinąć się tak, aby mogły ilością stawić opór wyrobom zagranicznym.

Pozostaje mi jeszcze do omówienia trzecia przyczyna, a może najważniejsza, bo smutna. Oto nie ma może drugiego narodu, któryby tak nieoględnie deptał przemysł krajowy i wszystko co swoje jak my.

Nie mówię nic o bezwiednej rzeszy, ale o osobistościach, które roszczą sobie prawa do inteligencji patrjotyzmu. Obłęd ten tak nas opanował, że jest tą straszną zmorą, która nas nie tylko we śnie ale i na jawie dusi.

Nic u nas nie uzyska uznania, na czem niewyciśnięta stampila zagraniczna. Może rzecz sama nie mieć najmniejszej wartości, byó nawet ostatecznem wynikiem lichoty, jednak pieczęć obczyzny, zastępuje wszystkie zalety.

Znam mnóstwo osobistości, które są gotowe w każdym wypadku do popełnienia największej niedorzeczności, a nawet złego, aby tylko pozostać wiernemi sztandarowi obczyzny. W imię tej wierności chorobliwej, obrzucą to co swoje, chociażby najlepsze błotem, zbrukają, wyśmieją, zgubią w samym zarodzie.

Nawet w proroków i mistrzów swoich niewierzymy tak długo, dopóki im zagranica nie wyda paszportu z powrotem do ojczyzny.

Tu więc szukajmy tych zarodów gangreny, która niezadługo popłynie wszystkiemi arterjami ciała naszego.

Jak długo choroby tej nie usuniemy, dotąd wszelkie usiłowania będą paraliżowane.

Bodajśmy się nie zapóźno wyleczyli z tej strasznej choroby. Wszystko ma swoje granice; strunę można tylko do pawnego tonu naciągać, inaczej pęknie. (C. d. n.)

POGADANKI.

XXIII.

Rocznik gotajski składa się z 4 części, z których pierwsza obejmuje domy panujące, druga medjatyzowane domy niemieckie, trzecia inne rodziny książęce, a czwarta, daty statystyczne, nazwiska ministrów, posłów, innych dygnitarzy, i t. p. szczegóły. Ojciec św. umieszczony jest w pierwszej części, kardynałowie zaś w czwartej. Dwa lata temu, redakcja „rocznika“ zmuszoną była w osobnym przypisku tłumaczyć się z zarzutu, uczynionego jej przez gorliwych katolików, dlaczego kardynałów nie umieszcza w części pierwszej, skoro oni stanowią duchową rodzinę papieża? Redakcja odparła, iż uwzględnić może jedynie pokrewieństwo w jego fizycznem znaczeniu. Odpowiedź ta nie zadowoliła oponentów, i kto wie, czyli w jednym z najbliższych roczników, kolegium kardynalskie nie stanie w rzędzie panujących rodzin.

Obok owego dworskiego *Almanach de Gotha* wychodzi atoli druga publikacja p. t. *Taschenbuch der gräflichen Häuser*, pod tą samą redakcją, co tamta. Otóż w tym podręczniku, daje się spostrzedz niesprawiedliwość większa jeszcze od tej, jaką wyrządzono kardynałom, i o której naprawienie, strony interesowane upomnieć się powinny. Między hrabinami mianowicie, umieszczono tylko te artystki dramatyczne, które już wyszły za mąż za hrabiów, o tych zaś, które dopiero wyjść mają, lub mogą, lub pragną, nie ma najmniejszej wzmianki. P. Justus Perthes, wydawca roczników, powininenby postarać się o uzupełnienie tego braku, i do rejestru członków rodzin hrabskich dołączyć dokładny rejestr personalu żeńskiego wszystkich scen istniejących w miastach, w których gromadnie lub sporadycznie przynajmniej, zwykli pojawiać się nieżonaci hrabiowie.

Mam nadzieję, że wskazówka, którą daję niniejszem, nie przeminie bez skutku. Powód zaś do niej dały mi najświeższe wypadki, które zakłóciły spokojność publiczną w lwowskich sferach teatralnych, przyteatralnych, i recenzyjnych. Zapowiedziano występ nowej debiutantki w roli „Pięknej Heleny“. Okoliczność ta, sama w sobie niewiele znacząca, nabrała wielkiej wagi z powodu, iż debiutantka jest wdową po baronie, i że nie uznała za rzecz stosowną występować pod pseudonimem. Już dwa tygodnie przed pierwszym występem, dwie wersje, sprzeczne z sobą, zaczęły krążyć po mieście. Jedni utrzymywali, iż „arystokracja“, obrażona *zaafiszowaniem* tytułu (w dosłownem znaczeniu) zachowa się jak najnieprzychylniej dla debiutantki; drudzy przeciwnie zapewniali że arystokracja powita ją jako „swoją“ i urządzi dla niej owację. Ponieważ zaś opozycja przeciw „paniczom“ jest jedyną spuścizną, jaka nam została po śp. Towarzystwie demokratycznem, więc kto wierzył w pierwszą wersję, szedł do teatru z bukietem w ręku, a kto wierzył w drugą, szedł tam z zamiarem sykania i gwizdania. Skończyło się na tem, że „na złość“ arystokracji, jedna część publiczności sypała p. Lüdde oklaski i kwiaty, a druga, także na złość, sykała.

Wykonawszy po dwakroć ten akt niezawisłego sądu, szanowna publiczność teatralna poczęła wertować dzienniki, ażeby w nich znaleść potwierdzenie swojego zdania, podczas gdy recenzenci patrzyli jeden na drugiego, kto pierwej będzie miał odwagę skoczyć w spienione nurty wrzącej dyskusji. Jeden z nich, niejaki p. J. L. zachował tak *à propos*, że nie był ani na pierwszem, ani na drugiem przedstawieniu „Pięknej Heleny“. Nakoniec znalazł się Winkelried osobie pana (b.) w *Dzienniku Polskim*, który odmówił debiutantce głosu i szkoły, ale znalazł w niej talent dramatyczny i dał jej radę, aby się poświęciła komedji. Po tem przełamaniu lodów nastąpił najhumorystyczniejszy epizod całej historji. W czwartek, tj. w trzy dni po drugim i ostatnim występie pani L. organ dyrekcji widział się zniewolonym zabrać głos, i wytłumaczyć swoje spóźnienie się w tej mierze. Otóż oświadczył oficjalny recenzent p. (s.) że na pierwszem przedstawieniu spostrzegł pewne braki w głosie i śpiewie pani L. — że atoli miał nadzieję, iż czas i ćwiczenie usuną te braki, i że wskutek tego — czekał na występ powtórny, tj. czekał od soboty do poniedziałku, całych 48 godzin! Zresztą potwierdza pan (s.) sąd pana (b.) i budzi w nas nadzieję, że ujrzymy panią L. w innych partjach, stosowniejszych dla niej; publiczności zaś, równie sykającej, jak sypiącej bukiety udziela stosownego napomnienia.

Wszystkie te ubolewania godne zajścia nie nastąpiłyby, gdyby p. Justus Perthes chciał wziąć sobie do serca uwagę, którą uczyniłem na wstępie, i zaprowadził oficjalne równouprawnienie artystek z osobami utytułowanemi. Publiczność nie uprzedzałaby się z góry ani pro, ani contra, recenzenci nie mieliby tremy przy pisaniu, a debiutantka wyszłaby na tem najlepiej.

* * *

Między pismami pośmiertnemi A. Fredry znajduje się powieść w dwóch częściach, napisana białym wierszem, pt. „Jeremiasz Sęp.“ Spadkobiercy, mając do wyboru wydrukowanie tego utworu własnym nakładem, lub sprzedanie go któremukolwiek z pism, wychodzących w Galicji lub w W. księstwie poznańskiem, uznali za stosowne umieścić go w odcinku gazety urzędowej, wskutek czego, na razie, przystępnym on będzie tylko c. k. Galicjanom. Pierwsza część opowiada dzieje myśliwskie jednego z ostatnich Nemrodów staropolskich, druga zawierać ma legendę z czasów rzezi humańskiej. Z ustępów, dotychczas drukowanych, powziąć można wyobrażenie tylko o formie, która bynajmniej nie jest szczęśliwą. Wiersz biały, a w dodatku nierytmiczny, nadaje się w języku naszym wyjątkowo tylko, do oddania silniejszych wylewów uczucia, w liryce, lub w dramacie; gdzie opowiadanie płynie spokojnym tokiem, jak w tym wypadku, czytelnik zapytuje mimowoli, dla czego autor naraził go na optyczne złudzenie, pokazując mu z daleka wiersze, które z bliska, tj. przy czytaniu, zamieniają się w najprostszą, bezbarwną prozę. Weźmy, dla przykładu, taką zwrotkę:

„Nasamprzód jedzie czterech kozaków
Jako poczet przewodniczy;
Pyta o drogę, mosty ogląda,
Do naprawy ludzi zgania,
Potem wieczorem miejsce wytycza
Gdzie się tabor ma rozłożyć;
Dalej objezdnik, stary Matyaszek,
Za nim ośmiu strzelców konnych.“

Każdy przyzna, że tym sposobem można zrobić wiersze nawet — z c. k. austrjackich ustaw zasadniczych. Przepiszmy tu na próbę dosłownie, w sposób powyższy, początek „ustawy o stowarzyszeniach,“ według urzędowego wydania c. k. drukarni nadwornej i rządowej z r. 1868, str. 128. Wstęp ten opiewa:

„Za zgodą obu Izb Mojej
Rady państwa, rozporządzam
§. 1. Co następuje: Zebrania
Są dozwolone, w miarę przepisów
§. 2. Niniejszej ustawy. Kto chce urządzić
Zgromadzenie ludu, albo
W ogólności zgromadzenie,
Winien zawiadomić władzę itd.“

Albo np. ustawa o „ogólnych prawach obywateli państwa,“ §. 19 brzmi jak następuje:

„Wszystkie szczepy narodowe
Są zarówno uprawnione,
Każdy więc szczep narodowy
Ma nienaruszalne prawo
Pielęgnować i zachować
Narodowość swą i język.“

W pierwszym wypadku, dziesięcio zgłoskowy wiersz z średnicą po piątej zgłosce przeplata się wdzięcznie z ośmiogłoskowym zwykłym i trocheicznym; w drugim wypadku prawodawca stanął jeszcze wyżej pod względem prozodji, przemawia bowiem samemi trochejami. Pozwoliłem sobie tylko tej jednej zmiany, że gwoli rytmu przepisując, położyłem „swą“ zamiast „swoją.“ Zwracam uwagę c. k. gazety urzędowej na ten szczęśliwy mój pomysł, nastręczy on jej bowiem sposobność zapełniania swojego odcinka bez kosztów, utworami poetycznemi, którym obok wdzięcznej formy, nikt nie zdoła odmówić nadzwyczaj i d e a l n e j wartości. Cienie zaś ś. p. Aleksandra Fredry radować się tylko będą mogły z powodu tej innowacji, zgasłemu wieszczowi nie śniło się bowiem zapewne, że w pierwszej linji pisał swą powieść dla c. k. becyrków i sztajeramtów, i wolałby ją widzieć może w *Czasie*, albo w *Przeglądzie Polskim*, równie jak my wszyscy.

Jan Lam.

Całkowite zaćmienie księżyca

Dnia 27 Lutego we Wtorek, trzy najbardziej nas obchodzące ciała niebieskie słońce, ziemia i księżyc zajmą względem siebie stanowisko nie nazbyt się często przytrafiające. W godzinach wieczornych pomiędzy słońcém a księżycem stanie ziemia, i nasz towarzysz odwieczny pogrąży się przez czas pewien w cieniu rzuconym od ziemi przez słońce. Słońce jest większe niż ziemia, więc cień główny tej ostatniej mieć będzie formę stożka długiego na dwieście kilkanaście promieni ziemi naszej, a ponieważ księżyc świeci światłem u słońca pożyczonem, więc gdy we Wtorek w godzinach wieczornych droga księżyca poprowadzi go przez cień od ziemi rzucony, blask jego zgaśnie naprzód częściowo, cień ukaże się na jego krawędzi, potem powoli wsuwać się będzie coraz dalej na tarczę, coraz więcej ją za ciemniać, aż wreszcie jasna tarcza księżyca wyłoni się powoli z drugiej strony.

Lecz przy zaćmieniu, tarcza księżyca nie staje się zupełnie niewidzialną. Przypatrując się starannie widziano że podczas zaćmienia częściowego jest ona barwy ciemnoszarej a podczas całkowitego czerwonawej.

Dla naszych okolic zaćmienie to wypada w czasie wygodnym, we wczesnych wieczornych godzinach. I tak naprzykład dla Lwowa zaćmienie częściowe rozpocznie zię o godzinie 7 min. 5, początek zaćmienia całkowitego o godz. 8 min. 3, środek całkowitego zaćmienia o godz. 8 min. 51, koniec całkowitego o godz, 9 min. 39 a o godzinie 10 min. 37 księżyc wysunie się zupełnie z cienia przez ziemię rzuconego.

Podajemy tu godziny w których to zajmujące zjawisko będzie widziane w innych miastach Galicji.

	Początek częściowego zaćmienia		Początek całkowitego zaćmienia		Środek całkowitego zaćmienia		Koniec całkowitego zaćmienia		Koniec częściowego zaćmienia	
	g	m.	g.	m.	g.	m.	g.	m.	g.	m.
Bełz . .	7	5	8	3	8	51	9	39	10	37
Bochnia .	6	51	7	49	8	37	9	25	10	23
Bielsko .	6	45	7	43	8	31	9	19	10	17
Brody . .	7	10	8	8	8	56	9	44	10	42
Brzeżany .	7	8	8	6	8	54	9	42	10	40
Czortków .	7	13	8	11	8	59	9	47	10	45
Czerniowce	7	13	8	11	8	59	9	47	10	45
Drohobycz	7	4	8	2	8	50	9	38	10	36
Dźwiniacz	7	7	8	5	8	53	9	41	10	39
Gródek .	7	4	8	2	8	50	9	38	10	36
Iwonicz .	6	57	7	55	8	43	9	31	10	29
Jarosław .	7	0	7	58	8	46	9	34	10	32
Jasło . .	6	55	7	53	8	41	9	29	10	27
Kołomyja .	7	10	8	8	8	56	9	44	10	42
Kraków .	6	49	7	47	8	35	9	23	10	21
Lisko . .	7	59	7	57	8	45	9	33	10	31
Maków .	6	48	7	46	8	34	9	22	10	20
Nowy Sącz	6	52	7	50	8	38	9	26	10	24
Poronin .	6	50	7	48	8	36	9	24	10	22
Rzeszów .	6	57	7	55	8	43	9	31	10	29
Sambor .	7	4	8	2	8	50	9	38	10	36
Sanok . .	6	58	7	56	8	44	9	32	10	30
Stanisławów	7	8	8	6	8	54	9	42	10	40
Stryj . .	7	5	8	3	8	51	9	39	10	37
Szczawnica	6	52	7	50	8	38	9	26	10	24
Tarnopol .	7	11	8	9	8	57	9	45	10	43
Zaleszczyki	7	12	8	10	8	58	9	46	10	44
Złoczów .	7	9	8	7	8	55	9	43	10	41
Żółkiew .	7	5	8	3	8	51	9	39	10	37
Żywiec .	6	45	7	43	8	31	9	19	10	17

Zaćmienie to będzie widziane w Australji, Azji, Europie i Afryce, koniec jego na wschodniej części Ameryki południowej i w Grenlandji.

LISTY DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

(Ciąg dalszy.)

Dla słodko-kwaśnych moralistów (niegrzeszących — głównie dla braku możności grzeszenia), przywiązywanie jakiejkolwiek wagi do piękności zewnętrznej, jest bezwarunkowo potępienia godnem. Ale mogę Panią zapewnić, że jestem dalekim od tego rodzaju skrupulatności. Dlaczegożby piękność miała być gorszą od niektórych przymiotów duchowych np. od delikatności w obejściu, skoro obie te zalety zarówno przyczyniają się do szczęścia małżeńskiego? Kobieta posiadająca nabytą przez wychowanie delikatność w obejściu, może nam wynagrodzić brak piękności, która całe pożycie opromienia; ale jakże blado wyglądałyby sceny przedślubnej życzliwości, bez tego uroku, jaki daje przymiot wrodzony: piękność zewnętrzna. Nie myślę tu przeczyć, że piękność ta, sama przez się nie wiele stanowi, ale też nikt jej nie bierze w życiu w zupełnem oderwaniu od wszelkich innych przymiotów. Tylko w opisach scen powieściowych może być piękność zewnętrzna brana za wyłączną sprężynę miłości. Młodzieniec ujrzał młodą kobietę wysiadającą z powozu u wrót teatru i — zakochał się na śmierć... w powieści, rozumie się. W życiu, taka koncentracja wrażeń chwilowych przyjemnych, jako przyczyna namiętności, nie trafia się. Pierwszy widok może zrobić bardzo silne wrażenie, ale dopiero później przy dalszych powtórzonych stosunkach, po zupełnem rozwinięciu się uczucia, przez fantazję dopełniającą przypisujemy mu ten skutek cudowny, do którego dał zaledwie pobudkę. A przytem, nie należy zapominać o jednej bardzo ważnej okoliczności: że piękność zewnętrzna, taka, która jest w stanie wywołać trwalsze uczucie, nigdy nie działa sama przez się, gdyż nigdy nie jest wrażeniem odosobnionem. Piękność, która „chwyta za serce“, dlatego posiada tę własność cudowną, że jest symbolem piękności duchowej, że głębokie spojrzenie zdradza głębokość myśli, że uśmiech łagodny znaczy łagodność uczuć, a świeżość lic — świeżość sercowych składników. Nie zapominajmy, że jeśli piękność rysów niekoniecznie idzie w parze z pięknością duszy, to jednak nigdy ta ostatnia (jeżeli wyłączymy chorobliwe, od przypadku zależne zboczenia) nie była obserwowaną bez uznania piękności wyrazu twarzy. A właśnie ten wyraz stanowi to, co ludzie w życiu najczęściej za piękność uważają. Twarze martwe, bez wyrazu, nonotonne, zawsze jednako nastrojone, chociażby o rysach klasycznych, nigdy nie wywołują silniejszego nad chwilowe uczucie. Ono tam tylko powstać może, gdzie ulegający wrażeniom powierzchownej piękności, poza nią odczuwa piękność wewnętrzną, jako treść symbolu.

Nie rzucajmy więc kamieniem potępienia na tych, którzy piękności szukają. Trzebaby wyrwać z serca ludzkiego wszelkie estetyczne skłonności, ażeby w niem zatrzeć to naturalne, od wieków przekazane i, chcemy wierzyć, coraz to podnioślejsze upodobanie. Gdyby mi więc narzeczona moja wymawiać chciała, że ją kocham dla piękności tylko, odpowiedziałbym jej: wynajdź odpowiedniejszy symbol dla piękności duszy, a zrzeknę się tamtego.

Lecz jest tu jeszcze inne niebezpieczeństwo, któremu rozum zapobiedz powinien. Piękność obojętnieje. Jest ona tem dla upodobań estetycznych, czem smaczna potrawa dla podniebienia. Najpiękniejsza melodja przez cały dzień powtarzana stanie się nieznośną. Czy toż samo niebezpieczeństwo grozi i piękności? Tak wielkie nie — ale zawsze grozi. Nie jest ono tak wielkie, ponieważ piękność twarzy nie jest wrażeniem pojedyńczem; nie jest tak prostą kombinacją wrażeń jak melodja, lecz, co najmniej, tak złożoną, jak piękność poematu. Tu większa rozmaitość wyrazów niż tam tonów, a o ileż jeszcze większa rozmaitość treści wewnętrznej! Słowackiego „W Szwajcarji“ czytać można i dziesięć razy, coraz nowe odkrywając piękności. Taką tajemnicę odświeżania się, w wyższym jeszcze stopniu, posiada piękność twarzy, gdy jest symbolem duszy. Zmiana myśli i uczuć coraz to głębszych, coraz to podnioślejszych, coraz to doskonalszych, może w niej odkrywać coraz to piękniejsze uroki i ponęty. Lecz niebezpieczeństwo istnieje przecież, ponieważ taki rozwój, takie urozmaicenie, ograniczone jest niedoskonałością i opornością naszej całej natury ludzkiej, która wyrywa się tylko ku kresom ideału, nie mogąc ich nigdy doścignąć. Młodzi ludzie, którzy się chcą pobrać, ponieważ się sobie podobają winni

dobrze rozważyć tę okoliczność. Piękność, działając na nas przez wyobraźnię, stępi z czasem swe strzały. Najpiękniejsza twarz, stawszy się codzienną, stanie się powszednią, i w sercu mogą odżyć dawne skłonności, pod wpływem nowej, świeżej twarzyczki. Cóż wtedy? — Czy obowiązek ma walczyć z upodobaniem? Smutny to ratunek. I przyznam się Pani, że gdybym, będąc żoną, taką ostateczność w mężu moim przewidział, kto wie czybym nie wolał prosić go o nierobienie sobie przymusu. Obowiązek!.. śliczne to słowo — ale wtedy tylko, gdy się jego ciężaru nieczuje.

Jakże więc zaradzić możliwym następstwom znudzenia się pięknością?

W tem miejscu muszę Panią nauczyć jednej rzeczy, którą umiesz lepiej odemnie, tylko zapewne sama o tem nie wiesz. Robi się to tak. Dzieli się wszystkie możliwe, teraźniejsze i przyszłe uroki piękności fizycznej, połączonej z duchową, na tyle cząstek, ile chwil życia mamy przebyć ze sobą. Stosownie do uposażenia naturalnego i tego, które dało wychowanie, wielkość tych cząstek będzie różną, lecz nigdy nie jest tak źle, aby przy starannem zebraniu zasobów, pierwszy zapas nie wystarczył na pierwszy rok małżeńskiego pożycia. Trzeba tylko o tem pamiętać (co kobiety o szlachetniejszej organizacji wiedzą doskonale, albo raczej co spełniają instynktownie), że rozdzielanie uroków powinno być homeopatyczne, że pomimo się najściślej stosować do okoliczności, że nigdy z góry nie należy szafować niemi zbyt hojnie, nigdy nawet tyle ileby tego sam małżonek pragnął; zawsze — choćby tylko o $^1/_{100}$ mniej. — Będzie się gniewał, powiesz pani, będzie wymawiał obojętność?

— A niech się gniewa, niech wymawia — takie gniewy kończą się prędko, a prędzej jeszcze skończyłaby się rozkosz, gdyby jej było za wiele. Zresztą gdy chwila jest groźną, wolno żonie powiększyć dozę oznak miłości, powiększyć tak, żeby różnica pomiędzy ich pragnieniami wynosiła już nie jednę setną, ale tylko jednę tysiączną.

— Ale zkąd wziąć zasobu na dalsze lata, zapytasz pani może, z filuternym uśmiechem niewiadomości?

— Rok drugi — przy zwykłej kolei rzeczy, powinien nietylko sam dla siebie wystarczyć, ale jeszcze i innym coś w spadku pozostawić. Żona zyskawszy pomoc w dziecięciu, dwa razy silniej przywiązać męża potrafi, niż samym urokiem własnej piękności. Zresztą, na dalsze lata powinna ona i na innej drodze gromadzić zasoby uroków, które nietylko dawnych nie zatrą, ale jeszcze wzmocnić je potrafią. Tą inną drogą jest praca nad ulepszeniem własnego charakteru. Piękność zewnętrzna z natury rzeczy zacierać się musi; lecz skoro, jak widzieliśmy, jest ona dla prawdziwie kochającego tylko symbolem piękności wewnętrznej, treść więc jej zmienić się nie powinna i nie zmieni się, jeśli tylko wraz z zacieraniem się symbolu, który dała natura powstawać będą inne doskonalsze jej objawy, jakie daje sztuka — nie ta, która każe przedrzeźniać świeżość młodości przy pomocy materjałów kosmetycznych, ale ta, która prawdziwie doskonali — sztuka własnego kształcenia się. Ażeby do niej znaleść siłę, potrzeba na to tak potężnego motoru, jakim jest szczera, głęboka miłość. Ona jedna zdolną jest zmusić najbardziej kapryśną kobietę do ustępstw, najbardziej leniwą do pracy, najbardziej próżną do poważnego i rozsądnego działania. Ale mając tak potężną broń w ręku, jakże często zapominamy z niej korzystać, jakże często najbardziej urocze miesiące małżeńskiego pożycia, pozostają bez śladu, gdy się je za cel, nie zaś za środek uważa! Wziąć je za cel małżeństwa, znaczy zatruć sobie dalsze pożycie — wziąć je za środek — znaczy zapewnić sobie trwałe szczęście. Jeżeli nie zawsze się tak dzieje, czyjaż wina — męża czy żony? — obojga; mąż bowiem powinien był korzystać z niepowrotnej chwili i użyć miłości żony do wyrobienia w niej tych przymiotów charakteru, które uważa za warunek szczęścia w dozgonnej swej towarzyszce; żona zaś powinna była już pierwej, jako narzeczona, jako posiadająca stosunkowo większy wpływ na narzeczonego, niż on na nią, dążyć do wytworzenia tej harmonji, tego zobopólnego ulepszenia charakterów, bez którego szczęście będzie chwilą tylko.

A teraz pozwól mi pani na zakończenie wypowiedzieć parę uwag o piękności męzkiej. Wiadomo, że najwrażliwsze na nią są panny piętnastoletnie i sięgające trzydziestki, a zapominające o dzieciach, mężatki. Pierwsze — dlatego, że nie wiele więcej widzą w mężczyźnie, drugie — dla tego, że często nie chcą widzieć nic więcej; ale u pierwszych jest to objawem naturalnym, u drugich — chorobliwym. Młoda panienka musi przejść epokę, w której ze wszystkiego żartować gotowa w której jednych kawalerów „nienawidzi“, drugich w cichości serca ubóstwia; motorem zaś tych wrażeń, przy stosunkach pospolicie praktykowanych, może być tylko powierzchowność. „Kocha się“ więc w aktorach, śpiewakach, lekarzach, wojskowych i artystach, których zaledwie kilka razy widziała, ale których wąsy, broda lub faworyty, magnetyczny pociąg na nią wywierają; miesza się gdy kto wspomni o przedmiocie jej cichych westchnień i, na podstawie powieściowych wiadomości, gotowa jest uwierzyć, że się kocha naprawdę. Niektórzy nazywają to pierwszą, ale jest to właściwie dopiero uwertura do pierwszej miłości, w której motywa całej sztuki, mającej być w przyszłości odegraną, plączą się w idealnie chaotyczną całość. Panny głębszą umysłowością obdarzone, przechodzą zwykle w drugie stadjum które się charakteryzuje powagą i rzewnością usposobienia, o ile tamto przeważnie wyrażało się w śmiechach, żartach, przyjacielskich zwierzeniach i krótkotrwałych westchnieniach. W tym drugim okresie nietyle już sama piękność, ile raczej sposób obejścia mężczyzny imponuje. Serce, które gwałtem chce kochać, wierzy pochlebnym słówkom, wierzy w trwałość gwałtownie gorących wyznań, w ubóstwiające apostrofy, najczęściej nieortograficznie pisane i w przeciągłe spojrzenia, przeszywające je aż do głębi. Panna staje się w domu milczącą, poważną, często zamyka oczy, ażeby w myśli ujrzeć obraz ubóstwianego Apollina, chowa zwiędłe listki przyniesionej przez niego róży, jest przekonaną że umrze, jeśli rodzice na związek nie pozwalają, śnią jej się trumny obok ślubnych sukni, traci apetyt, staje się szorstką względem starszych i często wzdycha do klasztoru. Takiemi są bohaterki romansów, pisanych przez bardzo młodych autorów. Jestto rzeczywiście pierwsza miłość — miłość barwista jak skrzydła motyla i jak one krucha; a przecież nie było na świecie kobiety, którejby się ta pierwsza miłość nie wydawała najtrwalszą i najsilniejszą!

— Cóż dalej? zapytasz pani...

— Dalej — loterja miłości rozgrywa się dwojako. Albo toż samo uczucie, na wrażeniach powierzchownych oparte, staje się głębszem i spokojniejszem, przy bliższem poznaniu tej samej osoby, i wtedy z uroczemi złudzeniami młodocianego serca, łączą się trwalsze upodobania dojrzałego wieku — albo też po mniejszym lub większym zawodzie, uczucie przenosi się na inną osobę, przybierając tenże poważniejszy i głębszy charakter. W obu tych razach piękność mężczyzny schodzi na plan drugi; albo w tem znaczeniu, że kobieta wybiera tego, któremu dopiero jej uczucia miłości, szacunku i przyjaźni piękność w jej oczach nadają, albo też, że poprostu nie uważając nawet oblubieńca za pięknego, kocha przecież w nim wyraz godności męskiej, delikatności obejścia, serdecznego przywiązania i czysto osobistych przymiotów moralnych, w których czuje zapewnienie swego szczęścia, chociażby nawet wielu innych za nierównie piękniejszych uważała. To już jest kwestja usposobienia. Jedna nazwie pięknym oblubieńca dlatego, że go kocha; inna dlatego właśnie, że go kocha, wcale tej kwestji rozbierać nie będzie — ona patrzy na niego zupełnie innemi oczami i dla tego nawet nie uważa za właściwe porównywać go z innemi. Gdyby jej zapytano, którego z dwu młodych mężczyzn uważa za piękniejszego, powiedziałaby: ten jest ładny, a tego kocham. A czy wiesz Pani, że wcale z tego nie wynika, iż ten drugi jest mniej przystojnym? Miłość bowiem — to wszechstronna czarodziejka; ona umie zarówno brzydkie rysy upiększyć, jak i piękne na inne nieokreślone przerobić, które wówczas przestają już być pięknemi lub brzydkiemi, a stają się tylko... kochanemi. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Peschel Oskar. Nauka o ludach (Etnologja), przełożona z niemieckiego i pomnożona przez prof. Dr. Wisłockiego, 8ka str. 643. Warszawa. 1877. 6.70 ct,

Dzieło to zawiera: Wstęp. Znamiona ciała plemion czyli ras ludzkich. Język jako znamię. Stopnie rozwoju techniczne, społeczne i religijne. Plemiona ludzkie. Australczycy. Papuanie australscy i azjatyccy. Ludy mongolskie i do nich podobne. Szczep malajski. Azjaci południowo-wschodni z jednozgłoskowym językiem. Koreanie. Japończycy. Ludy mongolskie na północy starego świata. Pierwotne ludy Ameryki. Drawida czyli pierwotni mieszkańcy Hindostanu. Hotentoci i Buszmanie. Murzyni. Nadśródziemnomorskie plemię.

— Szlosser, Dzieje powszechne, zeszyt 104.

— Bobrzyński Michał. Historja prawa niemieckiego w zarysie wraz z historją prawa tego w Polsce. Zeszyt I. Pierwotne ludy germańskie i Państwo Franków. 8ka str. LXXV i 184. Kraków, 1876 r. 2 złr.

— Carlen E. F. Róża z Tistelenu. Powieść. Tłumaczenie ze szwedzkiego. 2 tomy, 8ka, str. 262 i 263. Lwów, 1877. 3 złr.

— Gorzkowski Marjan. Księdzówna. Powieść galicyjska. 8ka str. 216. Lwów, 1877. 1·20.

— Krzywda Bolesław. Pamiętnik humorystyczny. Zbiór humoresek, anegdot i humorystycznych wierszy. Wychodzi zeszytami. Zeszyt 1 i 2, in 4°. str. 63. Toruń, 1877. 1 złr.

— Piotrowski Adolf. Wskazówki likwidatora do pobieżnego obliczania wartości budynków, dla użytku likwidatora i poszkodowanych. 8ka. str. 25 z tablicą. Lwów, 1877. 60 ct.

— Petion Eustachy, inżynier. Nowa broń. Torpile niebieskie. 8ka str. 7. Lwów, 1877. 20 ct.

— Rylski Tomasz. Podręcznik mechaniki rolniczej dla gospodarzy praktycznych. Wybór i użycie narzędzi i machin rolniczych. Z 130 rycinami w tekscie. 8ka. str. 232. Lwów, 1877. 3 złr.

— Szlosser F. K. Dzieje powszechne. Tom 17.

(Dzieje 18 wieku. Europa w czasie pierwszego rozbioru Polski) 8ka. str. 672. Lwów, 1877, w prenumeracie 2·50.

— Tretiak Józef. Mazurek Szopena. Nowella. 8ka. str. 126. Lwów, 1877.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

(Dokończenie).

Z Rohatyńskiego.

Już czwarty rok upływa od wejścia w życie ustawy szkolnej, atoli dotąd nie widać jakoś, aby oświata ludu czyniła postęp ku lepszemu. Jeśli dalej będzia iść tym samem trybem, można wątpić czyli kiedykolwiek na polu kształcenia ludu upragnionego dopniemy celu. Wprawdzie jest w kraju sporo szkółek, w każdym powiecie naliczyć ich można kilkadziesiąt; ale jakie one są —to już inna kwestja; nie zazierać nawet do wnętrza, bo nie już rozczarowanie tylko, ale częstokroć zgroza może przejąć człowieka na widok w jak opłakanym stanie znajdują się uczelnie, na które łoży kraj cały, w jakie ręce złożono wychowanie publiczne przyszłego pokolenia. Tomy całe trzebaby spisać, aby wykazać dostatecznie powody i przyczyny tego stanu rzeczy. Tak jest, bo inaczej być nie mogło, bo to jest logiczną konsekwencją pierwszego mylnie uczynionego kroku. Dawniej wcale szkół ludowych nie było, naraz potworzono ich mnóstwo, w każdej prawie wiosce, zaprowadzono przymus szkolny i cóż okazało się? krzyczący brak lokalów szkolnych, jeszcze większy brak zdolnych nauczycieli i nadzoru. Nasuwa się pytanie, czyby nie lepiej było na razie, aby w powiecie zamiast kilkudziesięciu złych, utworzono temi samemi funduszami kilkanaście dobrych szkół, obsadzonych ukwalifikowanemi nauczycielami? Powiedział poeta: „duch się wznosi a nie skacze.“ Salto mortale może na scenie sprawić efekt, ale w życiu nie jest praktyczne. Nie pojmuję zaprawdę powodu, dla czego miniony sejm tak siarczyście szermierzył za własnym projektem, a następnie tak tryumfował po zatwierdzeniu uchwalonej przez niego ustawy szkolnej. Mojem zdaniem, muszę przyznać słuszność, że o wiele praktyczniejszym był projekt rządowy o nadzorze szkolnym, który poprzednio wprowadzony w życie prowizorycznie w ciągu paru lat począł już był wydawać błogie owoce. Projekt ów tworzył w każdym powiecie nadzór szkolny powiatowy, złożony z trzech członków: komisarza politycznego, delegata rady powiatowej i wybranego z grona nauczycieli. Zamiast istniejących obecnie miejscowych rad szkolnych, byli zamianowani nadzorcy miejscowi z łona obywateli albo inteligencji miejscowej chętnych oświacie. Nadzór powiatowy załatwiał czynności kolegjalnie, możliwszą była ścisła kontrola i sprężystość w działaniu, bo nie tylko mniejszy obszar pracy, lecz i egzekutywa była w miejscu, a przytem każde starostwo bezpośrednio było powołane do czuwania nad szkolnictwem w powiecie i do odpowiedzialności. Obywatel jako miejscowy nadzorca mając prawo wstępu do szkoły, już to w poczuciu obowiązku, już emulacji interesował się szkołą i starał o jej podniesienie. Zaprowadzona w roku 1873 ustawa szkolna, potworzyła Rady szkolne okręgowe złożone z czterech lub pięciu powiatów. Pod przewodnictwem starosty w miejscu siedziby Rady szkol. okręgowej w skład jej wchodzą delegaci Rad powiatowych po jednemu z powiatu, reprezentanci wyznań, delegat z grona nauczycielskiego i inspektor szkolny jako główny referent. Łatwo pojąć, że ciało złożone z dziesięciu członków jest ciężkie, że częstokroć nie można złożyć kompletu, na czem sprawy szkolne cierpią. Rada okręgowa ma za wielki obszar, ażeby dobrze mogła sprawować nadzór nad powierzonemi jej szkołami, jeden inspektor niedostateczny. Wedle ustawy „przy użyciu środków przymusowych winni być jej pomocni c. k. starostowie powiatowi.“ Otóż w razie potrzeby Rada szkolna okręgowa wzywa dotyczące starostwo o egzekucję; strona broni się na piśmie, starostwo komunikuje pismo Radzie okręgowej, ta udziela je inspektorowi, albo delegatowi do ponownego zbadania na miejscu i tak na pisaninie sprawa czasem bardzo pilna idzie w kilkumiesięczną odwłokę. Atoli najnieszczęśliwsza w ustawie szkolnej była myśl potworzenia Rad szkolnych miejscowych składających się z żywiołu tak ciemnego, że trafiają się częste wypadki, gdzie sam przewodniczący podpisuje się tylko znakiem krzyża świętego. Trzeba wiedzieć, że te Rady szkolne miejscowe mają sobie oddane najważniejsze obowiązki szkolnictwa ludowego. §. 9. ustawy szkolnej wyraża 17 punktów zdanych pieczy miejscowej Rady szkolnej, między temi: zarząd funduszem szkolnym miejscowym, nadzór i staranie nad budynkiem szkolnym, uwalnianie dzieci od uczęszczania do szkoły, również karanie nieposyłających, prezentowanie nauczyciela itd. Z tego wszystkiego prócz uwalniania własnych dzieci od szkoły i prezentowania nauczyciela wedle widzimisię, Rady szkolne miejscowe nic zgoła nie robią, trwonią fundusze, lekceważą sobie wszelkie rozporządzenia Rady szkol. okręgowej i stają tej ostatniej na każdym kroku zawadą, a czynić to mogą tem dowolniej, że ustawa nie orzeka żadnej odpowiedzialności w razie oporu lub niedbalstwa. Nadchodzący sejm niezbędne ma zadanie znieść Rady szkolne miejscowe, a zastąpić takowe nadzorcami miejscowemi, lub przynajmniej rozdzielić tychże atrybucje na dwie kategorje; dydaktyczną część zdać na samych nauczycieli, administracyjną zaś na urzęda gminne odpowiedzialne za swe czynności wobec władz wyższych.

Z. O.

Literatura i sztuka.

— Piśmiennictwo prowincjonalne tak obfite w Kongresówce, u nas dotychczas rozwinąć się nie może. Zlaje się, że po wielu próbach chybionych, nareszcie będziemy mieli jedno pisemko przyzwoite w Kolomyi. Nadesłany nam pierwszy numer dwutygodnika „Ogniwo“ nieźle się przedstawia. Zawiera on odpowiednio napisaną odezwę redakcji i zręczny wiersz Marji B. kończący się także odezwą:

Hej! ręka w rękę — czas ostateczny
Nawiązać łańcuch nasz złoty,
Silnem ogniwem jedności wiecznej,
Pod hasłem prawdy i cnoty —
Wspólnie do dzieła! ciałem i duchem
A chętnem sercem — a żywo!
Stańmy się jednym zgody łańcuchem,
A spójnią będzie „Ogniwo.“

Oprócz tego mieści się w tymże numerze: Pogląd na życie i pisma Zygmunta Krasińskiego, napisany przez p. Wincentego Srokę, miejscowego profesora gimnazjum, dopiero rozpoczęty; mglisty wiersz Kostki pt. „Noc wśród stepu,“ „Kronika,“ początek „Wycieczki do Monasteru,“ Korespondencja ze Lwowa; Rozmaitości. Życzymy nowemu koledze wytrwałości i powodzenia.

— W tych dniach wyszła z druku broszura pt. „Kilka rysów zdjętych z życia Fryderyka Kazimierza Skobla“ przez prof. dra. J. Oettingera, z dodaniem wiersza Antoniego Skrzyneckiego sł. fil.

— Jeden z literatów warszawskich przygotowuje obszerne studjum o Mickiewiczu, odpowiadające takiejże pracy Antoniego Małeckiego o Słowackim.

— Komedja Newskiego i Damasa: Daniszewy ma być w tych dniach graną w Poznaniu, w Warszawie zaś wystawioną będzie nowa komedja Jordana pt. „Błaga.“

— P. Adolf Sonnenfeld, dyrektor jednej z orkiestr warszawskich, zajęty jest obecnie pisaniem nowej opery pt. „Albrecht Dürrer w Wenecji.“ Opera ta przedstawioną będzie najprzód w Norymberdze.

— W Medjolanie zbiera obecnie laury młoda i nieznana dotychczas śpiewaczka p. Helena Herman z Warszawy. Według miejscowych dzienników, ma ona posiadać bardzo piękny kontralt.

— Wkrótce ma wyjść z druku bezimienne dzieło pt. „Historja Warszawy.“

— *Gazeta Toruńska* drukuje w odcinku ciekawą i pożyteczną pracę dra Mieczkowskiego z Wrocławia „O potrzebie i korzyściach nauki ekonomji politycznej.“

— *Gazeta Narodowa* odzywa się z wielkiemi pochwałami o wierszowanym przekładzie „Księgi Jobowej“ Karola Brzozowskiego, które to dzieło wkrótce ma się z druku ukazać.

— Donoszą nam z Krakowa o nadzwyczajnem powodzeniu pierwszego koncertu H. Wieniawskiego, który był dany d. 18. bm. w sali hotelu saskiego.

— Ziomek nasz, Ignacy Domejko, znany uczony, zamieszkały w Chili, nadesłał Akademji paryskiej memorjał o nadzwyczaj obfitych i bogatych kopalniach srebra w Caraces.

— *Gazeta Polska* drukuje nową serję znakomitych „Listów z podróży“ Litwosa (Henryka Sienkiewicza.) Pod względem piękności stylu i żywości obrazowania jest to jedna z najlepszych prac w tym rodzaju. P. Sienkiewicz, autor kilku powiastek i współwłaściciel „Niwy“ od roku już podróżuje po Ameryce, zkąd nadsyła swe listy.

— Drugi korespondent amerykański p. Juljan Horain pisujący do tejże gazety, podaje między innemi następujące ciekawe szczegóły o polskich pismach w Ameryce: „W roku bieżącym, wychodzą w Stanach Zjednoczonych cztery czasopisma polskie, z których trzy w Chicago, a jedno w Brooklyn'ie w pobliżu Nowego Jorku. Tytuły pism są następne: „Gazeta Polska“ w Chicago, „Gazeta Polska Katolicka,“ „Przyjaciel Ludu“ i „Kurjer Nowojorski.“ Prócz „Przyjaciela Ludu,“ który jest przeważnie pismem literackiem i wychodzi zeszytami miesięcznemi, inne są przeważnie polityczne, z barwą demokratyczną, i wychodzą raz w tydzień. Przedruki z czasopism polskich, wychodzących w Europie, są główną ich treścią i zaletą. Artykułów oryginalnych mało, a może lepiej, aby ich zupełnie nie było. Interesa wszystkich tych czasopism są bardzo liche. Prenumeratorów, czy jak tu nazywają abonentów, trzeba łapać. Lepiej od innych, tak pod względem redakcji, jak i ilości prenumeratorów, stoi „Gazeta Polska Katolicka,“ popierana przez duchowieństwo. „Kurjer Nowojorski,“ od czasu objęcia redakcji przez Edwarda Kulikowskiego, znaczny zrobił postęp na lepsze. Najbardziej jednak odpowiada celowi i założeniu „Przyjaciel Ludu,“ w całości zapełniony przedrukami z czasopism polskich w Europie. Wyborem artykułów, czyli redakcją, zajmują się Rudnicki i Wendziński. Wydawcą, a podobno i redaktorem „Gazety Polskiej w Chicago“ jest Władysław Dyniewicz. Na „Gazecie Katolickiej,“ jako właściciel i redaktor podpisuje się Jan Barzyński. Redagowanie czasopisma polskiego w Ameryce jest po prostu męczarnią; niestety! probowałem i ja tego gorzkiego chleba.“

— Czytamy w *Dzienniku Polskim:* „Pisma lwowskie już wspominały o „Albumie posłów polskich,“ które wychodzi w Toruniu nakładem księgarni naszej (W. Małecki). Zeszyt I. jak wiadomo, wyszedł z druku; obecnie w tych dniach wyjdzie z pod prasy drugi zeszyt, w którym znajdować się będzie życiorys dr. Władysława Niegolewskiego. Życiorys ten jest bardzo obszerny i wyczerpujący, obejmuje około pięciu arkuszy druku; jest w nim wszystko, co tylko ten „adwokat ojczyzny,“ jak Niemcy Niegolewskiego nazywają, zrobił. Wydawnictwo to tak sympatyczne, powinnoby w Galicji znaleść wielu zwolenników.“

Konkurs.

Akademja belgijska ogłasza konkurs na rozwiązanie następujących zadań:

— Temata literackie. I. Odszukać początki szkoły muzycznej belgijskiej i wykazać jej związek ze spiewakami francuskimi i angielskimi.

II. Napisać historję ceramiki w Belgji od czasów rzymskich do XVIII wieku.

III. Napisać historję szkoły rytowania pod Rubensem.

IV. Oznaczyć i rozebrać cechy architektury flamadzkiej w XVI i XVII stuleciu.

Wartość medali złotych wynosi dla pierwszego i czwartego pytania 1000 fr. a dla drugiego i trzeciego 800 fr.

— Temata ze sztuki stosowanej. Malarstwo: karton dekoracyjny do fryzu przedstawiający następujące po sobie prace w robotach kamieniarskich, poczynając od wydobywania kamieni z łomów a kończąc na układaniu budynku.

Nagroda wynosi 1000 franków. Prace należy nadsyłać, najdalej do dnia 1 Września 1878.

Statystyka.

— Z niemieckich gazet dowiadujemy się, że w roku bieżącym wychodzi w Berlinie do 374 pism perjodycznych, gazet itp. Cyfra rzeczona obejmuje 37 gazet urzędowych, 48 politycznych i społecznych, 241 z dziedziny nauk, sztuk i przemysłu, 21 duchownych i religijnych i 17 ze świata literackiego.

ROZMAITOŚCI.

— „Od niebios zesłany minister“ (Pitt) lord Warden, co znaczy „Strażnik pięciu portów,“ jak mógł najczęściej przebywał w ulubionym swym zamku Walmer, zajmując pokój szczególnie obrany, jak to dobrze zauważył był lord Granville. Okna z południowej strony wychodziły na morze, a od strony lądu widok był zupełnie zakrytym krzewami zasadzonemi ręką lady Ester Stanhope. Słynny minister zapraszał takie mnóstwo gości do swej rezydencji, że zmuszony był dobudować całe nowe skrzydło do zamku, by mieć gdzie pomieścić licznych przyjaciół. Kilka godzin czasu wymawiał sobie wolnych od gości i wtenczas udawał się do pewnej fermy, na której przeważnie prowadzonem było gospodarstwo pastwiskowe; miał tam swój pokoik bardzo skromnie umeblowany, stół i parę krzesełek, i tam zasiadał do pracy, do pisania mnóstwa listów, a tuż obok w kuchence, gotowano dla niego obiad bardzo skromny. Nie był wymyślny; zadawalał się rzeczami zwykłemi, „O, ileż w moich oczach wuj mój skonsumował tu chleba z masłem i kawy; najtęższemu parobkowi byłoby dosyć“, nieraz wspominała lady Stanhope, siostrzenica Pitta. Lubiała ona zamek Walmer nie mniej od wuja. Nie zawadzi wspomnieć, że wielki ten mąż stanu, który umarł wycieńczony pracą w stosunkowo młodym wieku i którego nieprzyjaciele pomawiali o brak galanterji dla kobiet, był strasznym krytykiem... toalety niewieściej; fałd źle ułożony, szal niezgrabnie rzucony na plecy, nic nie mogło ujść oka bystrego i wnet bez ceremonji robił wymówki. Nikomu innemi jak tylko lady Ester zawdzięcza Walmer przepyszny swój park, równego któremu nie ma na sto mil w około. Rzadko drzewa wysokie rosną nad brzegiem morza, ale lady Ester umiała temu zaradzić po swojemu. Pewnego razu Pitt zauważył, że w Walmer za mało drzew; że gdyby było ich więcej byłoby daleko piękniej. W dni kilka potem minister wyjechał do Londynu. Lady Ester natychmiast pogalopowała do Douvres. Stały tam trzy pułki piechoty; lady więc do komendanta i wyprosiła, aby pułkowi pozwolił udać się na czas pewien do Walmer. Zaprzęgła ich do roboty i w dni kilka grunt był splantowany, nowe klomby stworzone, i mnóstwo krzewów, drzew i kwiatów nasadzono w miejscach pierwej pustych. Gdy Pitt powrócił z Londynu nie mógł poznać zamku swego, tak w nim wszystko się zmieniło na lepsze. „Ależ to prawdziwy cud, jakby we śnie!..“ zawołał uradowany ściskając siostrzenicę. Drzewa ręką lady wtedy sadzone, dotychczas trwają, wyrosły w olbrzymy. Teraźniejszy lord Warden (Granville) opowiada o pokoju zajmowanym niegdyś przez Pitta, następującą historję: Pokój ten przez dłuższy lata zostawał w tymże samym stanie co za Pitta; sprzęty i obicia były tetsame, nic w nim nie ruszono, lecz gdy podczas wyjścia zamąż królowej, zamek był jej nadany i trzeba było rozszerzyć salę jadalną, wybito jedną ścianę pokoju; po wyjeździe królowej z mężem, ściana została napowrót wstawioną i wszystko do dawnego ładu za wieczną pamiątkę przywrócono. Książę Tayllerand, będąc ambasadorem francuskim, przyjechawszy raz odwidzić Wellingtona w Walmer, prosił tego ostatniego, aby mu dano na noc pokój Pitta; dla Tayllerand było to pewnym rodzajem tryumfu, że mógł się przespać w łóżko Pitta, który tyle kłopotów i wojen nabawił był Francję w czasie Napoleona I.

— Śluby cywilne między kozakami dońskimi nie są rzeczą rzadką. Znane są one tam oddawna jak pisze Dońska Gazeta. Cała ceremonja odbywa się bardzo prosto: chłopiec i dziewczyna występują na rynek przed zgromadzonym ludem, zanoszą modły do nieba, kłaniają się później na wszystkie strony, poczem zbliża się pan młody do narzeczonej i powiada: „bądź mi żoną.“ Narzeczona tedy pada na kolana przed narzeczonym i woła: „a ty bądź mi mężem“, poczem całują się publicznie, lud woła „hurra!“ błogosławi i wszyscy się rozchodzą. Rozwody dzieją się w tenże sam sposób. Mąż wyprowadza przed lud żonę i stanąwszy przed atamanem, oświadcza głośno: „Waleczny atamanie, była ona mi wierną i dobrze służyła, lecz ja więcej nie jej mąż, a ona nie żona moja.“ Lud zgromadzony jako świadek, potwierdza rozwód i rozwódka może jeśli chce, zaraz na miejscu nowe zawrzeć związki w sposób powyżej opisany.

— Chińczycy posiadają grę może jeszcze dawniejszą od szachów, a bez wątpienia nie mniej trudną i zajmującą. Jest to rodzaj gry wojennej i nazywa się po chińsku „wei ch'i“. Nauczyć się nie łatwo, pełna jest zawikłań i kombinacji, wymaga myślenia i niepospolitych zdolności kombinacyjnych; uczeni chińscy nadzwyczaj ją lubią; w klubie swym ciągle w nią grają. Pan Herbert A. Giles, który przez długi czas będąc konsulem angielskim w Chinach, pierwszy z Europejczyków zbadał tę grę i nauczył się jej dobrze, podaje o niej interesujące opisanie w „Temple Bar“. Znajdujemy też opisanie onej w najnowszej edycji chińsko-angielskiego słownika przez Dra. Williams'a, który jak wiadomo czterdzieście lat mozolnej pracy poświęcił ułożeniu tego słownika i uchodzi najsłuszniej za jednego z najznakomitszych znawców rzeczy chińskich. Gra odbywa się na desce podzielonej grubemi wyraźnemi linjami na 361 kwadratów, wszakże nie na kwadratach, lecz na linjach kładą się małe guziczki do gry służące; guziczków tych jest 300, z drzewa lub z kości, połowa czarnych, połowa białych; posuwają się po linjach w różne strony. Idzie o to, ażeby można jak najwięcej kwadratów zamknąć temi guziczkami. Powstaje stąd niezliczona moc najrozmaitszych kombinacyj i właśnie ta rozmaitość kombinacyj czyni grę wielce zajmującą. Jest niejako obowiązkiem dla osób uczonych i znakomitych, aby każdy umiał grać w „wei ch'i“ i nie ma prawie przykładu, aby kto nie umiał; historja wspomina jak o jakiej osobliwości, że skądinąd zresztą obdarzony wielkiemi zdolnościami cesarz Chieu Lung, nie mógł się tej gry nigdy nauczyć. Wynalezienie tej gry przypisują Chińczycy cesarzowi Jar, który żył na 2000 lat przed Chrystusem. Wielce uczony pisarz Mancu, piszący na 300 lat przed Chrystusem wspomina w pismach swych o pewnym człowieku który swojego czasu najlepiej grał w „wei chi“ a później został ministrem wielkim; ma to służyć na dowód, że znajomość tej gry szlachetnej wielce pomaga do zrobienia karjery, dając świadectwo o zdolnościach człowieka.

— Nie koniecznie tylko talentem swym naśladowania głosu ludzkiego papuga może się pysznić. Wypadek niedawny który się zdarzył w sądzie berlińskim dowodzi, że ptak ten może mieć inne jeszcze pretensje do przymiotów człowieczych, wywyższających go nad wszystkie ptaki, a nawet nad wszystkie zwierzęta. Małpa dotychczas nie miała zaszczytu występywania w charakterze świadka sądowego; papuga zaszczyt ten juz osiągnęła. Pewien obywatel niemiecki, żyjący sobie spokojnie z kapitału w Berlinie po sprzedaniu wioski, ma nieszczęście posiadać bratanka, który go ciągle trapił nasyłaniem żydów z wekslami. Ostatnią razą gdy żyd natarczywiej jak zwykle domagał się by stryj zapłacił za bratanka, stryj zniecierpliwiony delikatnie wskazał na drzwi, przyczem się dał słyszeć głos wołający: „Ty łotrze, gałganie, wynoś się pókiś cały!“ Żyd czując się skrzywdzonym na honorze, podał skargę do sądu, lecz jakież było jego zdziwienie gdy zumiast „zaniepokojonego i chętnego do zgody“ jak się wyrażał stryja, ujrzał tegoż z uśmiechniętą miną wchodzącego do izby sądowej z klatką w ręku, a w klatce papugę. „Co to jest? — pyta sędzia a za nim żyd zdumiony, nie mogąc pojąć po co ta papuga, której wprzód nigdy nie widział u pozwanego. — „Jest to mój świadek odwodowy, który najlepiej dowiedzie, żem słów ubliżających dla szanownego kupca nigdy nie wymówił“ — odpowiada stary szlachcic, a dalej prosi o pozwolenie złożenia przez papugę dowodu, że to ona, a nie kto inny, słowa obraźliwie wyrzekła. Sąd udawszy się na ustęp, po naradzie, zezwolił i papuga postrzegłszy lichwiarza, krzyknęła w najlepsze: „Ty łotrze, gałganie, wynoś się pókiś cały!“ — „Nie miałem nawet potrzeby uczyć jej tej sztuki — ciągnie dalej obywatel — bo mogę dowieść osobę od której papugę nabyłem, że nabyłem ją już tak nauczoną, a że nigdy nie chciałem podpisywać weksłów za mego bratanka, pomimo próźb jego, to ta sama papuga, także to poświadczy.“ Tu stary szlachcic udając bratanka, zawołał: „Stryju, proszę cię, podpisz za mnie!“ — „Nigdy, nigdy nie podpiszę!...“ — zawołała na to papuga, która nieraz asystowała przy podobnych scenach. Zdekoncertowany lichwiarz wyznał, że istotnie żadnego wekslu nie chiał nigdy stryj podpisać i że tylko podmówiony przez bratanka nachodził mieszkanie pierwszego; gdy więc udowodnionem zostało, że papuga z drugiego pokoju tak trafnie zawołała, sąd uwolnił pozwanego od wszelkiego zarzutu i lichwiarz tyle tylko zyskał, że po raz drugi usłyszał nie miły wprawdzie dla siebie, lecz pełen prawdy komplement.

— Niedawno na licytacji w hotelu Drouot w Paryżu, sprzedany został za 12.500 franków przepyszny puginał, pamiątka historyczna po królu Henryku IV, który był smutny, że nie każdy chłop we Francji może mieć kurę na objad przynajmniej w dni świąteczne. Puginał ten służył królowi podczas ślubu z pierwszą żoną jego Małgorzatą de Valois. Rękojeść wysadzana drobnemi medaljonami z perłowej macicy, osypana drogiemi drobnemi kamieniami, a na rękojeści, klindze i pochwie monogram królewski, wybijany złotem. Na pochwie oprócz tego dwa podobne medaljony jak na główni, t. j. rękojeści, a w medaljonach w każdym po jednej sentencji, zasługującej bardzo na uwagę. Pierwsza zupełnie odpowiada naturze tego wielkiego króla, który dzięki swej roztropności, wśród najcięższych okoliczności umiał tron posiąść, uspokoić Francję wzburzoną i panować z chwałą; druga, jeśli nie jest jakby przeczuciem roli jaką prasa te dwa wieki peźniej będzie odegrywać, to z pewnością świadczy, że Henryk IV pojmował, że myśl więcej coś znaczy aniżeli siła; sentencja ta mogłaby wielce się przydać naprzykład choćby księciu Bismarkowi. Pierwsza, pod ręką trzymającą „oko“ opiewa: „prudence mésure la fin de toute chose“ co można wytłumaczyć: roztropność rozważa koniec, czyli inaczej: „cel osiąga się roztropnością“ druga, pod ręką trzymającą „pióro“: „Je résiste à la Force“, stawiam czoło sile, a zatem wniosek: „zwyciężam siłę.“

— W r. 1740 wybuchł był pożar w pałacu akademji umiejętności w Petersburgu. Dla ratowania z płomieni zbiorów przeróżnych, zarekwirowano wojsko. Przy przenoszeniu preparatów przyrodniczych, jeden z żołnierzy stłukł flaszkę i skaleczył sobie szkłem rękę. Wysysając krew z rany, poczuł, w tem miejscu miłą woń alkoholu; wnet potem flaszka została wypróżnioną, a towarzysze jego, uwiadowieni przezeń o tem odkryciu cennem, zrobili to samo z resztą flaszek, tak dalece, że wszystkie nauczynia przyszły próżne na miejsce przeznaczone. Jeden z nich połknął nawet małą salamandrę, która była w spirytusie, gdyż jak się zapewne czytelnik domyślił, płynem w owych flaszach był mocny spirytus, używany do konserwowania okazów zoologicznych.

Od Redakcji.

Pani Henryce. W nadesłanym wierszu znać zacną myśl i łatwość wierszowania, ale to jeszcze nie jest poezja.

P. A. S. w Paryżu. Wiersz „Pożegnanie“ drukowany nie będzie.

P. E. M. w Poznaniu. W artykule nadesłanym, są bezładnie wypowiadane myśli, bezustannie się powtarzające i z tego powodu korzystać z niego nie możemy.

P. Ż. w Bryńcach. List pański udzieliliśmy poprzedniemu wydawcy p. Rogoszowi, do którego prosimy odnosić się we wszelkich kwestjach poprzedniej redakcji dotyczących.

P. Miączyńskiemu w Nowym Yorku. Komplet „Tygodnia“ wysyłamy. Do trzech dolarów brakuje jeszcze 1 reński i 70 centów które mogą być przysłane przy opłacie za drugie półrocze.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję
JÓZEF A. L. LASKOWNICKI.

Treść Nr. 25.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).